CENA 3 ZŁ

Pobudka

TYGODNIK

ROK I | Łódź, dnia 28 października 1945 r. | Nr. 5

NA LEWO

Zwycięstwo lewicy w wyborach francuskich, osiągnięcie połowy mandatów w Zgromadzeniu Ustawodawczym przez socjalistów i komunistów, jest faktem o doniosłym znaczeniu nie tylko dla samej Francji. Ten wynik wyborów należy traktować jako fragment przemian, zachodzących we wszystkich krajach Europy. Po zakończeniu wojny i obaleniu faszyzmu, co stanowi triumf ludów miłujących wolność i jest wynikiem ich olbrzymiego wysiłku, następuje ogólny zwrot na lewo.

Nie jest to wynikiem tylko trudności gospodarczych i ogólnego niezadowolenia społeczeństwa. Musimy być świadomi, iż wraz z obaleniem faszyzmu zachwiał się ostatecznie ustrój kapitalistyczny, którego pupilem i wychowankiem był właśnie faszyzm. Najszersze masy ludowe a więc już nie tylko robotnicy przemysłowi, ale także i chłopi i inteligencja i rzemieślnicy zostali postawieni w pozycji wrogiej wobec krzywdzącej ich wszystkich polityki karteli i trustów.

Powszechna staje się świadomość, iż świata nie da się odbudować z gruzów w systemie gospodarczym, którego celem jest jedynie zysk nielicznej garstki kapitalistów. Do tego dzieła odbudowy musi być przygotowany plan ogólny z punktu widzenia interesów powszechnych i plan ten narody znajdują w założeniach socjalizmu.

Dlatego też z takim zaufaniem tak jak i w krajach Europy środkowej i południowej, tak obecnie w Anglii i we Francji narody powierzają władze przedstawicielom stronnictw marksistowskich i robotniczych, wierząc, iż tylko oni potrafią wyprowadzić świat na nowe tory lepszego, szczęśliwszego życia. Spośród wielu dróg, które są do wyboru, jedna tylko prowadzi do właściwego celu.

Ta, która idzie na lewo.

21 października narodziła się Czwarta Republika

Wspaniałe zwycięstwo lewicy we Francji

Z napiętą uwagą czekał świat na wyniki wyborów we Francji. 21 października rozstrzygały się losy Trzeciej Republiki; głosowanie niedzielne nie ograniczało się bowiem do powołania przez naród członków Zgromadzenia Narodowego, ale połączone było jednocześnie z plebiscytem, w którym obywatele francuscy nadać charakter Konstytuanty, powołanej do uchwalenia nowej ustawy o ustroju Francji, przystosowanej do tak bardzo zmienionego w ciągu 70 lat układu stosunków społecznych i gospodarczych.

Hasło zmiany przestarzałej Konstytucji, która stała się puklerzem kapitalistycznych możnowładców w

Prześladowany szabrownik



Prześladują nas — bo zazdroszczą nam marnego kawałka chleba! Rys. Grus

odpowiedzieli na zasadnicze pytanie decydujące dla ustroju swego państwa. Pytanie to brzmiało: czy konstytucja z 1875 roku ma obowiązywać nadal czy też Zgromadzeniu Narodowemu, które wyjdzie z wyborów walce z dążeniami klasy robotniczej rzucili socjaliści i komuniści. Broniło jej natomiast zagorzałe stronnictwo radykałów i ugrupowania prawicowe.

(Dokończenie na str. 2ej)

Wspaniałe zwycięstwo lewicy we Francji

Głosowanie przyniosło zdecydowane zwycięstwo lewicy marksistowskiej i druzgocący pogrom radykałów, którzy po 70 latach rządzenia Francją, schodzą z widowni politycznej, wraz z ustrojem, który ich wydał.

86 procent wyborców opowiedziało się za zmianą konstytucji. Socjaliści otrzymali 142 mandaty, komuniści 152, ruch republikańsko-ludowy de Gaulle 141, radykałowie 25, a pozostałe ugrupowania uzyskały w sumie 100.

Ruch republikańsko-ludowy, opierający się głównie na popularności wojennej swego przewódcy, uniknął losu radykałów, zdążył bowiem niemal w ostatniej chwili w kampanii wyborczej wycofać się z obrony Konstytucji 1875 r. Bez względu na to, jaką taktykę rozwinie to nowe stronnictwo na terenie Konstytuanty — zwycięski front marksistowski jest tak potężny, że dwa wielkie stronnictwa francuskiej klasy robotniczej, walczące o przekształcenie formalnej demokracji mieszczańskiej w rzeczywistą demokrację ludową — stać się muszą zasadniczą podstawą każdego nowego rządu we Francji.

Dzień 21 października stanowi punkt zwrotny w historii francuskiej. Trzecia Republika ustąpiła miejsca Czwartej. 6 listopada złoży generał de Gaulle władzę w ręce Konstytuanty, która w przeciągu siedmiu miesięcy uchwalić ma nową konstytucję. Stronnictwa lewicy, które lud francuski obdarzył tak wielkim zaufaniem, dążyć będą, by nowa Francja zerwała z kapitalistycznym bezhołowiem i oparła swój ustrój o zasady gospodarki społecznej, obliczonej nie na zysk dwustu bankierskich rodzin ale na zaspokojenie potrzeb szerokich mas świata pracy, miast i wsi.

Demokracja polska, która na tę drogę wielkiej przemiany społecznej już wkroczyła, powitała narodziny Czwartej Republiki z głęboką radością.

Życzymy bowiem narodowi francuskiemu, z którym łączy nas tak wiele węzłów przyjaźni, by zajął w rodzinie wolnych ludów miejsce, godne jego wspaniałych tradycji wolności i postępu. **Rafał Praga**

NASZ FELIETON

Kołtuneria

Lubię i cenię głęboko Zosię. Przy wszystkich jej zaletach zawodowych Zosia jest idealną żoną i matką prześlicznego, 5-cioletniego smyka Pawełka.

Jakżeż się więc ucieszyłam, gdy w którymś ze sklepów spotkałam ją kupującą właśnie krawat dla męża.

— Jak myślisz — zapytała — czy Pawłowi do twarzy będzie w niebieskim? On taki mizerny...

Uśmiechnęłam się z pobłażliwością, gdyż mąż jej waży około 100 kg. i wygląda jak tur, ale by nie przedłużać pobytu w sklepie przyznałam jej rację i wybrałyśmy krawat bordo w niebieskie paseczki.

— W tym będzie mu do twarzy — uśmiechnęła się Zosia i wyszłyśmy na ulicę. Ale gdy tylko schowała paczuszkę do torebki, posmutniała i zamilkła przygnębiona.

— Co ci jest Zosiu? — zapytałam zdziwiona — Czyżby w domu stało się coś złego?

— Ależ nie, nic się nie stało — odparła — to nie to, tylko... Ach, mówię ci, nigdy nie przypuszczałam, że ludzie są tak głupi i ograniczeni, tacy uparci w swej ślepoce i otumanieniu. Czytałaś zapewne mój artykuł o „Nowym prawie małżeńskim". Otóż wszystko zaczęło się od tego. Zaraz rano przybiegła do mnie Lala. Cóż to, rozwodzisz się? No, masz rację, nareszcie, ja w ogóle nie mogłam zrozumieć jak ty młoda i nawet niebrzydka kobieta (bo, że tam nogi masz nie bardzo, to trudno, zresztą ja mówię tylko o twarzy) — słowem, że ty taka postępowa kobieta tak wciąż tylko z Pawłem... No, ale teraz musisz wszystko opowiedzieć. Zakochałaś się? A czy on bogaty? Czy ma auto? Więc może własne mieszkanie w Łodzi? Nie? Już wiem, napewno ma bar. Weźmiesz mnie za kelnerkę. Mówię ci, teraz kelnerki wyrabiają 10 ministerialnych pensji. Ależ Lalu — nareszcie oprzytomniałam z wrażenia. — Co ty wygadujesz? Kto się rozwodzi? Kto z kim? Czego ty chcesz ode mnie? — Jakto kto? Ty! Przecież wyraźnie czytałam, nie będziesz mi chyba wmawiać, że nie rozumiem, co czytam. — Czytałaś — jęknęłam — że ja się rozwodzę? Na to Lala oburzona podsunęła mi pod nos mój nieszczęsny artykuł A to co? — zasyczała. —, To niby nic? to ty myślisz, że ja taka głupia i uwierzę Ci, że Ty tylko tak to napisałaś? — Ależ Lalu, to przecież tylko artykuł publicystyczny na temat nowej ustawy o prawie małżeńskim.—Moja droga, kobieta, która propaguje rozwody, sama musi o rozwodzie myśleć. Jesteś wstrętna intrygantka i zarozumialec. Chcesz wszystko utrzymać w tajemnicy, ale nic z tego, już ja się postaram, żeby wszyscy się dowiedzieli.—Trzasnęła drzwiami i wybiegła bez pożegnania.

Ale to jeszcze nie koniec. Na ulicy znajomi panowie zaczęli mi się kłaniać bardziej szarmancko, rzucając zaczepne spojrzenia, kobiety zaś oglądać za mną ciekawie, z błyskiem niezdrowej sensacji w oczach. Wczoraj mąż mój wrócił z biura zdenerwowany, gdyż wszyscy koledzy składali mu wyrazy współczucia nie określając bliżej powodu, dziś zaś stara hrabina Bęc-Walska na mój widok przyśpieszyła kroku, pociągając za sobą swoją córeczkę, o której powszechnie wiadomo, że już przy 3-cim unieważnieniu małżeństwa zachowuje konsystorskie dziewictwo.

— Ale to nic — Zosia uśmiechnęła się — przyjdzie czas, że i ci, te wszystkie Lale, hrabiny, i inne dziewice konsystorskie, ci wytworni panowie z poświęcanymi obrączkami na palcach i nie mniej wytwornymi garsonierami pied a terrów, to całe obłudne, zakłamane towarzystwo zrozumie ohydę i krzywdę społeczną, jaką wyrządza większości społeczeństwa świątobliwe prawo kanoniczne. Zrozumie i wtedy dopiero oceni wartość i celowość nowej ustawy. Zrozumie może prędzej niż się tego spodziewamy, gdy wyczerpie się trzos, nieodzowny rekwizyt konsystorskich zabiegów.

K. W.

PRAWO MIŁOŚCI

W ZSRR zmontowano ciekawy film naukowy p. t. „Prawo miłości". Film ten w sposób popularny ukazuje widzom świat zwierząt. Bohaterem scenariusza jest mały lisek. Na ekranie przesuwają się obrazy lasu: rodzina lisów buduje sobie przytulną norę dla wychowania młodego pokolenia. Młode liski bawią się pod okiem matki, która trwożnie czuwa nad bezpieczeństwem swego drobiazgu, ze wszech stron zagrożonego przez licznych wrogów. Ratując rodzinę przed psami myśliwych ginie matka, składając ofiarę życia na ołtarzu wielkiego prawa miłości macierzyńskiej. I w imię tejże miłości, tegoż instynktu — lisek znajduje nową matkę w obcej rodzinie lisiej, która go bierze pod swą opiekę. Film pełen jest podchwyconych na gorącym uczynku momentów z autentycznego życia mieszkańców lasu: wilki, niedźwiedzie i skrzydlate bractwo, nie podejrzewając zdradzieckiego aparatu filmowego — zdobywają pożywienie, walczą, kochają i cieszą się życiem posłuszne jedynie instynktowi.

Wspólniczka Kramera

przy pracy w Oświęcimiu i na ławie oskarżonych w Lüneburgu

Oświęcim 1943 rok. Koniec listopada. Godzina piąta rano. Wzdłuż tzw. „Lagerstrasse" z dwóch stron szereg baraków. Przed każdym barakiem stoją piątkami kobiety w pasiakach. Stoją tak od drugiej w nocy w apelu porannym. Drobny deszcz pada na zgolone głowy, na pasiaki, przejmujące zimno wstrząsa wychudzonymi ciałami i bosymi nogami, tonącymi w olbrzymich, holenderskich trepach.

Zdrętwiałe, tępe patrzymy w jeden punkt. Tym punktem jest brama obozowa. Brama, znajdująca się między elektrycznymi drutami. Stamtąd mają przyjechać Aufseherki niemieckie, żeby nas policzyć. Orientujemy się już według gasnących gwiazd, według szarzejącego nieba, że powinny nadjechać.

I rzeczywiście. W beznadziejnym milczeniu tysięcy „pasiaków", w mżystej ciszy szarego, laurowego poranka słychać turkot kół. Za bramą zatrzymuje się dziwny pojazd — rodzaj dyliżansu. Otwierają się tylne drzwiczki i zeskakują Aufseherki. Wszystkie w szaro-zielonych mundurach, w czapkach z trupią czaszką. Narzucają długie ciemne peleryny i wjeżdżają na rowerach w bramę obozu, po czym każda przyjmuje apel, obliczając ilość „pasiaków" w przydzielonych jej tego dnia blokach.

Stoję pierwsza w naszej piątce. Stoję nieruchomo, wyprostowana i staram się o niczym nie myśleć, niczego nie wspominać. Uczę się być tylko łysym pasiakiem bez pragnień, bez wyrazu, bez indywidualności. Jestem numerem, powtarzam sobie to co chwila, i muszę tu stać, żeby apel się zgadzał. To wszystko.

Przed szeregiem piątek wolno przechodzi Aufseherka. Jest bardzo piękna. Czarne, głębokie oczy przesuwają się zimno i pogardliwie po naszych umęczonych twarzach. Wiatr rozwiewa jej pelerynę i cudowne złote włosy, wymykające się spod „trupiej czaszki". Ma drwiący półuśmiech, który mówi: „dobrze Wam tak, gnijcie tutaj, zamarzajcie na śmierć, skoro chciało się wam zaczepiać nasz wielki, zwycięski naród".

Przez chwilę majaczy mi się odległe wspomnienie „Nibelungów", Brunchildy, jakichś średniowiecznych czarów, przez chwilę wyobrażam sobie, że tu także rozgrywa się film, w którym statystujemy jako „bydło w pasy"—gdy słyszę głos koleżanki:

— Jak ci się ta Greise podoba?

— To ona nazywa się Greise, skąd wiesz?

— O.., ją za dobrze znają w obozie.

— Z czego jest znana?

— Z sadyzmu. Jest okrutna, wyrafinowana, zimna. Mężczyźni jej nie interesują, jest lesbijką. Podobno nawet wynajduje sobie dziewczęta z Lagru.

Trudno to było pojąć. Chociaż musi to być prawda, myślałam, skoro jest w S. S. i skoro jest Aufseherką. Normalna, młoda, piękna kobieta nie poszłaby na taką funkcję. Musiała widocznie znaleźć ujście dla swych zwyrodniałych instynktów. Drugi powód, dla którego mogłaby być w tej roli w „kacecie" to jakiś fanatyzm, to wiara w hitlerowskie ideały.

— Mężczyźni SS-mani — rzekła ta sama koleżanka, zgadując moje myśli — dekują się tu przed frontem, wolą tę robotę niż śmierć od kuli. Ale kobieta, taka kobieta, jeśli tu jest, to napewno zbrodniarka.

Greise skończyła obliczanie. Podeszła do jednej z szeregu i wyciągnęła coś spod pasiaka. Uderzyła ją po twarzy i wezwała blokową:

— Nie umiesz bloku upilnować, patrz!

W końcach palców w rękawiczkach trzymała kawałek zawszonego, koca, wywijając nim pod nosem blokowej.

— Co to jest?

— Koc z baraku.

— Koc należy do państwa. A te świnie drą zamiast się cieszyć, że w ogóle mają koce w baraku. Dziwię się, że państwo dla takich przydziela.

Cisnęła z pasją koc w twarz blokowej.

— To się źle skończy dla Ciebie i dla tych świń — wskazała na nas.

Pojechała. Apel odgwizdano.

Blokowa oświadczyła nam, że mamy klęczeć dwie godziny. Za to, że drzemy koce przydziałowe. Zimno jest wszystkim tak samo. Nie jesteśmy w domu, żeby włożyć sweter albo grzać się przy piecu. Tu nie ma pieców, ani swetrów, ale są Aufseherki w rodzaju Greise.

Uklękłyśmy boso na mokrej ziemi. Po godzinie klęczenia kilka zemdlało. Wiele płakało. Krzyż, uda bolały strasznie. Wszystkie miały dreszcze.

Przez „Lagerstrasse" przejeżdżali SS-mani na rowerach, śmiejąc się z nas. W pewnej chwili przejechała znów Greise. Zeszła z roweru.

— Blockälteste, czemu one klęczą? Co znów zrobiły?

— Klęczą za ten koc.

— O gut, bardzo dobrze, może to je nauczy.

Patrzała na nas z satysfakcją. Nakryła przecież tak olbrzymie przestępstwo. Nieprzytomna z zimna dziewczyna urwała kawałek koca, żeby przykryć plecy. Naturalnie dziewczyna ta okradła W. Rzeszę. Okradła tych, którzy codzień wywożą tysiące wagonów koców stąd do Niemiec po zagazowanych transportach żydowskich.

Po tym klęczeniu połowa naszego bloku rozchorowała się. Dużo umarło.

Potem kilkakrotnie widywałam Aufseherkę Greise w jej wdzięcznej roli. Mnie samą uderzyła jeszcze dwa razy. Raz za to, że rzuciłam kawałek chleba głodnemu mężczyźnie, drugi raz za źle przewiązaną chustkę (miałam zawiązaną pod brodę, trzeba było wiązać do tyłu). Robiła to zawsze nonszalancko w rękawiczkach, z odpowiednią dozą obrzydzenia, jak przystało na wytworną SS-mankę w stosunku do zawszonego häftlinga.

Aufseherka Greise po swoich chlubnych wyczynach w następnym obozie w Bergen Belsen siedzi razem ze swoim szefem panem Kramerem na ławie oskarżonych. Ma ten sam drwiący uśmiech, jaki miała.

Śniło mi się tej nocy, że przyjechałam na salę, gdzie toczy się proces, do Bergen-Belsen. Wystrzeliłam w złotowłosą głowę Greise i krzyknęłam: „To za ten koc i za to klęczenie i za śmierć w męczarniach moich najlepszych koleżanek". I krzyknęłam jeszcze w stronę stołu sędziowskiego: „Dość tej komedii".

Rację ma świetny obrońca pana Kramera i pani Greise, który ma tak niezwykłą zdolność przedłużania tego procesu; mówiąc, że „element w obozach koncentracyjnych był najgorszy". Najlepszym dowodem jest mój dzisiejszy sen. Chociaż właściwie jeszcze lepszym dowodem jest fakt, że sama Greise nie nazywała nas nigdy inaczej jak podłymi świniami.

Właściwie żal mi tylko jednego. Że Mr. Winwood nie klęczał wtedy z nami. Tylko dwie godziny. Jestem pewna, że to by starczyło.

Krystyna Żywulska, nr. 55908

Podpis Polski pod statutem Narodów Zjednoczonych

Minister Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej Wincenty Rzymowski, który znajduje się obecnie w Waszyngtonie, osobiście podpisał statut Narodów Zjednoczonych.

Kiedy w San Francisco toczyły się narady nad nową formą współpracy międzynarodowej, która zapewniłaby światu pokój, kiedy dyskutowano metody, przy pomocy, których, wbrew tradycjom Ligi Narodów — nowa organizacja mogłaby zbrojnym ramieniem wymóc posłuch wśród tych, którzy mimo doświadczeń drugiej Wojny Światowej — nową wojnę chcieliby wywołać, — wtedy przy okrągłym stole nie było przedstawiciela Polski.

Tymczasowy Rząd, który powstał w Lublinie ze swego zalążka — P.K.W.N-u, nie cieszył się sympatią wielkich mocarstw anglosaskich. W jego najcięższych chwilach, gdy toczyła się jeszcze wojna, gdy walcem jej zdewastowany, w perzynę obrócony kraj w znoju ponad przeciętne siły — dźwigać się dopiero poczynał — wtedy pomocną dłoń wyciągnął doń tylko Związek Radziecki, który pierwszy uznał de jure i de facto (prawnie i faktycznie) Tymczasowy Rząd Rzeczypospolitej. Uznawać go zaczęły powoli i inne narody — lecz Anglosasi, wciąż milczeli. Mało tego, nie rozumiejąc lub nie chcąc zrozumieć naszego wysiłku i dobrej woli — traktowali oni marionetkowy „rząd londyński", który nikogo prócz siebie nie reprezentował, jako rząd, będący wyrazem woli ludu polskiego — tak na emigracji, jak i w kraju. To uznanie ludzi, którzy w swym politycznym zacietrzewieniu zgubili wszelki sens swej linii politycznej, którzy działając przeciw Rządowi Tymczasowemu, siejąc w kraju dywersję i niepokój — w rzeczy samej działali na szkodę narodu polskiego — to uznanie „rządu londyńskiego" przez dwa zwycięskie mocarstwa zachodu — było największą bodaj kłodą rzuconą na drodze Polski do odbudowy.

Na konferencji w Jałcie, jak to wynika z powziętych tam uchwał — pod wpływem niewątpliwie ZSRR, — Anglosasi przyjęli do wiadomości istnienie Rządu Tymczasowego. Protokuł krymskich narad mówi wyraźnie, iż jądrem przyszłego rządu Jedności Narodowej stać się ma Rząd Tymczasowy. Ta zapowiedź przyszłego uznania, ten równoczesny wyraz faktycznego zrozumienia dla bezsensu istnienia „rządu londyńskiego"—nie zmienił jednak zasadniczej postawy Anglii i Ameryki. Konferencja w San Francisco zaczęła toczyć się bez Polaków, zarówno tych „londyńskich", jak i Polaków, budujących w kraju swoją Ojczyznę. I nie pomogły protesty — i nie pomogły noty. Żaden samolot z Polski nie wylądował na lotnisku w San Francisco.

Ale mylilby się ten ktoby przypuszczał, że Anglosasi nie mieli zrozumienia dla konieczności współdecydowania Polski w sprawach międzynarodowego pokoju. Ignorowanie Rządu Tymczasowego i niezaproszenie do stołu obrad Narodów Zjednoczonych — „rządu londyńskiego" było presją wywieraną na Polaków w kraju i na emigracji, aby prędzej znaleźli wspólny język, i prędzej utworzyli Rząd Jedności, który by odpowiadał założeniom konferencji krymskiej. I gdy Polacy wreszcie — z pominięciem „rządu" londyńskiego — zjechawszy się w Moskwie dogadali się, uzgodnili poglądy różnych demokratycznych grup w kraju i zagranicą i gdy utworzyli Rząd Jedności Narodowej, którego zasadniczym trzonem był Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej — wtedy stało się jasne, co zresztą i w San Francisco zostało stwierdzone — że podpis polskiego ministra znajdzie się pod statutem organizacji Narodów Zjednoczonych.

Konferencja w San Francisco się skończyła. Mijały miesiące. Organizacja Narodów Zjednoczonych zaczęła nabierać rumieńców życia. Jej statut ratyfikują co raz to nowe państwa. I wtedy stało się oczywiste, że i Polska musi się znaleźć w gronie państw, które o pokoju decydują. ZSRR i Ameryka już dawno fakt ten uznały, a nowe rządy labourzystów w Anglii, trzeźwiej spojrzały na rzeczywistość, aniżeli robili to wprzód angielscy konserwatyści.

Polska, która leży na granicy Europy centralnej i wschodniej, Polska granicząca na olbrzymiej przestrzeni z Niemcami, Polska, która była widownią wielu największych bitew świata — w ciągu stuleci, — Polska, która stała się bezpośrednią przyczyną drugiej wojny światowej — musi współdecydować o pokoju. Bez niej, bez jej ważkiego słowa — pokoju w środkowej Europie, a więc i w Europie całej, a więc i w świecie całym — utrzymać nie można. Ten fakt bezsporny — został wreszcie uznany. Podpis Ministra Rzymowskiego, złożony pod statutem Narodów Zjednoczonych uznanie to przypieczętował — na pomyślność międzynarodowego pokoju.

Lepiej późno — niż nigdy.

Rudolf Lessel.

LEON BUKOWIECKI

KINO — FIKACJA

Czekaliśmy na filmy przez sześć lat bez mała
Niestety — zamiast FI-lmów, FI-kacja powstała
I od wielu miesięcy jak FI-ka, tak FI-ka
A jeden film po drugim, z jej rąk się wymyka.

W Ameryce „Dyktator", we Francji „Syn smoka".
„Dig" w Anglii — (podobno najnowsza „Carioca")
„Madame Curie"; na ekran przeniesione dzieło,
Które — jak dotąd — także „Z wiatrem przeminęło".

Aż tu nagle sensacja, był pokaz w Warszawie
Reportażu o wojnie „Zwycięstwo w pustyni"
I... już miesiąc jest głucho, więc pytanie stawię:
Co z tą pierwszą jaskółką „fikacja" uczyni?

Prosimy się brakiem filmów nie zasłaniać,
Brak ten bowiem napewno nie NASZĄ jest winą.
Już naprawdę od dawna dość mamy „fikania"
I dość starych filmów, — czekamy na kino!

Jak to było z Polakami
internowanymi w Szwajcarii

W czerwcu 1940 r. walczyła we Francji dywizja polska gen. Prugar-Ketlinga. Żołnierze, po kapitulacji Francji, nie chcieli się poddać Niemcom, lecz w ciężkich bojach cofnęli się do granicy Szwajcarii. Tutaj (po przekroczeniu granicy) zostali internowani.

Obecnie gen. Prugar-Ketling znalazł się w Warszawie, gdzie załatwiał sprawy powrotu polskiej dywizji do kraju. Wraz z nim przyjechał uczestnik najkrwawszych walk tej dywizji, prof. Uniw. Jagiellońskiego Vetulani, który również był w Szwajcarii internowany. Udzielił on prasie wywiadu na temat życia żołnierzy polskich w Szwajcarii. Podajemy za „Polską Zachodnią". Red.

Przyszedł dzień 19 czerwca 1940 r. Od rana dywizja nasza toczyła krwawe boje w pobliżu granicy szwajcarskiej. Huk dział mieszał się z grzmotem piorunów burzy, która rozszalała nad Jurą francuską i szwajcarską. W czasie tej burzy otrzymaliśmy rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i podejścia pod granicę szwajcarską, aby ją przekroczyć zgodnie z rozkazem Sikorskiego.

Po raz drugi zły los wojny kazał nam przekraczać granice neutralnego państwa i miast upragnionego marszu z ziemi francuskiej poprzez Niemcy do Polski, czekało nas po raz wtóry internowanie na obcej ziemi.

SZWAJCARZY WITAJĄ POLSKIE WOJSKO

W zwartych jednostkach, pod wodzą naszych dowódców, szliśmy wyznaczonymi przez Szwajcarów szlakami, by po wsiach i miasteczkach zająć wyznaczone nam kwatery. Witała nas ludność szwajcarska, witała naprawdę serdecznie, z taką gościnnością, jakiej poza granicami Polski dotychczas nie zaznaliśmy nigdzie. A my znużeni i przygnębieni szliśmy poprzez piękne i czyste wsie szwajcarskie, wzdłuż zabudowań, okrytych bujną zielenią ogrodów, pełnych kwiatów. Ludność cywilna wystawała przed ogrodzeniami, nie, by na nas patrzeć, tylko, aby nam podać chleb, nabiał, papierosy, czekoladę. Rozdawały głównie dzieci, których wszędzie było pełno. Jakiż kontrast z niemal obumarłymi wsiami francuskimi, z ludnością, nie zdającą sobie zupełnie sprawy z tego, że spadła na ich kraj klęska, jakiej Francja jeszcze nigdy nie zaznała.

W OBOZACH INTERNOWANYCH

Minęło kilka dni, zanim wyznaczono nam miejsca na obozy internowania.

Na kwatery wyznaczano nam sale szkolne, czasami budynki pofabryczne. Tylko niektórzy mieszkali po kwaterach prywatnych. Po paru miesiącach przeniesiono nas do baraków, otoczonych drutami i obstawionych strażą wojskową. Przez pewien czas mieliśmy możność swobodnego poruszania się i nawiązywania kontaktu z ludnością cywilną, zanim nie wydano w tym kierunku bardzo ostrych i krzywdzących zakazów. Nim je wydano, potrafiliśmy pozyskać serca Szwajcarów i wzbudzić ich szacunek dla nas i dla Polski. Sława, która nam towarzyszyła, dzielnych i zdyscyplinowanych żołnierzy, nigdzie nie została nadwyrężona. Żołnierz polski, w przeważającym procencie chłop i robotnik z polskiej emigracji z Francji, zadziwiał naszych gospodarzy schludnością, godnością osobistą i rzetelnością.

SERCE SZWAJCARSKIEJ KOBIETY

Najwięcej serca okazały nam kobiety szwajcarskie. Zorganizowane w związki zajęły się naszą bielizną, uzupełniły ją, prały i cerowały. Założone przez nas świetlice rychło wzbogaciły się ilustrowanymi czasopismami, książkami, szachami i innymi rozrywkami towarzyskimi. Wszystko to było dobre na parę pierwszych tygodni, gdy organizm nasz, zmęczony wojną i przejściami, wymagał odpoczynku i wytchnienia, gdy dusze nasze, obolałe po drugiej strasznej klęsce, wymagały uspokojenia. Ale czasu nie wypełni rozrywka. Umysł bez konkretnego zajęcia wraca ciągle do wspomnień tragicznych dni polskiej i francuskiej klęski, za serce chwyta niepokój o najbliższych. Uszyma wisimy u aparatów radiowych, a stamtąd nie przychodzi żadna dobra wiadomość. Pracy nam trzeba, absorbującej, choćby męczącej, byleby pozwoliła nam oderwać się, od ciągle kołatającej naszą duszę myśli — klęska, klęska. O te prace ubiegamy się, gminy szwajcarskie starają się iść nam na rękę.

JEŃCY PRACUJĄ

W listopadzie 1940 r. odchodzi wiele z młodzieży licealnej i studentów do obozów szkolnych, oficerów oddzielają od szeregowych i tworzą dla oficerów osobne obozy, ze wsi przenoszą żołnierzy do baraków za druty. Zima roku 1940 na 1941, to okres w naszym internowaniu najcięższy. Dopiero z wiosną 1941 roku zorganizowano obozy pracy. Od tego czasu przez pięć długich lat żołnierz polski ofiarnie, za niskim wynagrodzeniem, pracował przy karczowaniu lasów, budowie dróg, mostów, drenowaniu, wydobywaniu torfu.

Po zlikwidowaniu niefortunnego, masowego obozu w Buren nad rzeką Aarą, rozmieszczono nas w drobnych skupiskach, w barakach pod osiedlami wiejskimi, w górach, w lasach. Każdy obóz miał swój aparat radiowy, w każdym obozie była świetlica, która stała się prawdziwym ogniskiem rodzinnym, w wielu istniały kantyny i spółdzielnie, które stały się praktyczną szkołą spółdzielczości. Rozmaitego rodzaju kursy, czynne od r. 1940, zostały uzupełnione w r 1942 systematyczną nauką w zakresie szkoły powszechnej. Wielu z naszych pracowało indywidualnie, najczęściej na roli, w fabrykach i warsztatach. Polscy górnicy wydobywali węgiel z ubogiej szwajcarskiej kopalni węgla.

DO OJCZYZNY

Bujnie rozwijało się życie kulturalne. Teatr objazdowy i koncerty naszych chórów, pianistów i śpiewaków rozpogadzały nie tylko życie obozów, ale ściągały również szwajcarską ludność cywilną. Odnowiliśmy nici dawnych związków kulturalnych z Szwajcarią, tym krajem chłopskim, który mimo nacisków ze strony hitleryzmu i faszyzmu, potrafił utrzymać swą neutralność i obiektywizm. Dzisiaj nadchodzi wreszcie upragniony, z tęsknotą wyczekiwany dzień, w którym pozostali w Szwajcarii żołnierze 2 Dywizji Strzelców Pieszych, rozpoczną swój pochód do rodzinnej ziemi. Wracają z pewnością, z wolą, aby doświadczenie swe, nabyte w ciągu długiego internowania mogli wyzyskać przy wytrwałej pracy nad odbudową z gruzów powstałej i odnowionej Rzeczypospolitej.

„To mówi!" woła z przerażeniem cesarz brazylijski odrzucając słuchawkę telefoniczną

Nie minęło jeszcze 70 lat od chwili, gdy ubogi emigrant szkocki — Graham Bell, który osiedlił się w Ameryce jako nauczyciel szkoły dla głuchoniemych, doprowadził do końca uciążliwe próby i zdołał przesłać głos ludzki za pośrednictwem drutu na odległość. Wprawdzie, pożal się Boże, co to była za odległość: zatelefonował od swego pomocnika, do... sąsiedniego pokoju!

Ale wynalazca był niesłychanie dumny i szczęśliwy ze swego telefonu. Zdołał go nawet umieścić na Wystawie Przemysłowej w wielkim mieście amerykańskim — Filadelfii — ale na tym narazie skończyło się jego powodzenie. Nikt się nie poznał na wielkim znaczeniu niepozornego przyrządu.

Nieco później zetknął się Bell z cesarzem Brazylii, który — bawiąc w Ameryce — zwiedził i szkołę dla głuchoniemych. Bell zdołał mu wetknąć słuchawkę do ręki, a sam pobiegł szybko o parę sal dalej i stamtąd powiedział przez telefon parę słów do cesarza. Zdumiony władca z wielkiego wrażenia upuścił słuchawkę, wołając z przerażeniem: „To mówi!" Głos ludzki, wydobywający się z małego metalowego krążka, tak go zadziwił, że władca Brazylii postanowił zaopiekować się wynalazcą i umożliwić mu dalsze prace.

Wkrótce do telefonu Bella zastosowano mikrofon, polepszający znacznie odbiór głosu i umożliwiający rozmowy pomiędzy bardziej odległymi miejscowościami.

W roku 1877 buduje się pierwszą linię telefoniczną w Ameryce, a zaraz po tym założona zostaje sieć telefoniczna w Londynie i Paryżu.

W roku 1921, zaraz po wielkiej wojnie obliczono, że telefonem posługuje się na całym świecie 21 milionów ludzi.

Trudno dziś sobie wyobrazić życie bez pomocy telefonu. Ile nam oszczędza czasu, kłopotu, kosztów, zaczynamy rozumieć wtedy, gdy - jak podczas ostatniej wojny — musimy obywać się bez niego. (K. M.)

W. L. Brudziński

SIŁA ATOMOWA

— Słyszał pan, panie Woźniak?

— Co takiego, panie Antoniak?

— Węgiel na kartki przydzielają.

— Głupstwo węgiel, panie Antoniak, atomową siłę teraz mamy!

— Tylko pan uważaj, węgiel nie takie głupstwo, czytałeś pan w gazecie, że o nim całą zagraniczną umowę podpisali, więc pan sobie języka nim nie strzęp!

— Nic pan nie rozumiesz, panie Antoniak, mówię że nic po węglu, kiedy z atomów teraz ciepło będzie się produkować.

— Z jakich znowu atomów?!

— O bombie atomowej pan słyszałeś, nie?

— Coś nie coś.

— Że wojna się skończyła też pan wiesz. Poniektóre narody nawet święto pokoju teraz obchodzą.

—Ja tam będę miał święto pokoju, jak mi Urząd Mieszkaniowy pokój przydzieli, to go będę obchodził. W tym tylko graty się niszczą!

— Pan mi nie przerywaj, panie Antoniak, ja o bombie, a pan mi o Urzędzie Mieszkaniowym opowiadasz!

— Pan stale bomba i bomba. Dzieckiem nie jestem, czytałem, że jak komu taka bomba na łeb spadnie, to już pokoju nie potrzebuje i święty spokój ma. W proszek się rozsypuje. Jak w jednym japońskim mieście ją puścili, to się z tych Japończyków, podobnież tylko gdzie niegdzie po ziemi żółty kolor został.

— Ja swoje a pan swoje. Właśnie uczone ludzie, co ich Hitler tak zwanym aryjskim paragrafem, czyli po polsku mówiąc pałą z żyletkami z Niemiec przegnał, nad tym się zastanawiają, żeby siła atomowa nie tylko na ludzkie nieszczęście szła, ale żeby jaki taki pożytek z niej był.

— Co pan mówisz, panie Woźniak, i co?

— A no, różne ciekawe rzeczy z tego wychodzą.

— Na przykład, panie Woźniak, na przykład...

— A no w piecu nie długo węglem się nie będzie palić i centralne ogrzewanie też na szmelc sprzedać można — atomowa energia do dwóch miliardów stopni ciepła produkuje.

— Więc jak pan mówisz? Piece do choroby pójdą? To już nasz brat zdun całkiem niepotrzebnym członkiem będzie?

— Tak jest, panie Antoniak, będziesz pan musiał za handel się wziąć, albo na szaber jechać, bo pański zawód na nic się zda.

— Niemożliwe, panie Woźniak, pan jesteś człowiek oczytany, ale pan się chyba mylisz! A kto będzie te atamowe piece przestawiał? A kto pomoże jak cugu nie będzie, albo atomy dymić zaczną?

— Mówisz pan, jakbyś pan całe życie na wsi siedział i przy naftowej lampie był kształcony. Ca panu będzie dymić? A elektryczna żarówka, albo piecyk dymi? Także samo i atomy dymu nie wydają!

— Ciekawe pan rzeczy opowiadasz. Więc nasz węglarz z przeciwka będzie mógł budę przymknąć?

— Pewno, wszystko będzie szło automatycznie: motory, samochody, koleje...

— Ale chyba takiego tłoku już na tych atomach nie będzie. Wczoraj mój zięć z Częstochowy przyjechał, to taki tłok był, że mu z palca obrączka zeszła — a nigdy jej przed tym bez poślinienia ściągnąć nie mógł.

— Co tam tłok, panie Antoniak przestronnie będzie, inne czasy: i wagonów będzie bez liku i kolejka będzie co parę minut odchodzić. Kto tam zresztą będzie chciał po ziemi łazić, kiedy każdy na księżyc maszyną będzie mógł sobie pojechać.

— Więc pan uważasz, panie Woźniak, że z mojem fachem już amen. Gronia człowiek już na nim nie zarobi. Trzeba się będzie za co innego wziąć.

— Pewnie, że pan musisz się za jaką inną robotą obejrzeć.

— Ale jaką?

— Żebyś pan mieszkanie odpowiednie miał, to bym panu poradził. Jak się zacznie te atomowe różności fabrykować, piecyki, grzejniki, maszynki, to byś pan za przedstawicielstwo mógł się wziąć, w domu różne wzorki trzymać, ludzie by przychodzili i kupowali, a pan byś swoją forsę brał.

— No to trzeba by podanie do Urzędu Mieszkaniowego złożyć. A kiedy to ta produkcja się rozpocznie.

— Podobnież za dziesięć lat będą mogli zacząć.

— Co pan mówisz, to ja czym prędzej do Mieszkaniowego lecę. Jak dziś podanie złożę, to może mi jeszcze lepszy lokal zdążą przydzielić.

DWIE GODZINY U „JOHNA"

Do fabryki metalowej Johna w Łodzi przyszliśmy w sobotę o godzinie 1.30, akurat na sam fajerant. Ponury dziedziniec fabryczny zaroił się wesołym, hałaśliwym tłumem młodzieży, którzy tego dnia nieco później niż zwykle skończyli pracę. Za nimi, krokiem powolnym już, wychodzili robotnicy starsi, kobiety, i majstrowie. Nie mogliśmy więc niestety przyjrzeć się pracy ludzi i maszyn, ani też ocenić należycie produkcji.

Chcieliśmy już opuścić teren fabryki, gdy wtem przez jedno z otwartych okien buchnął chór młodych głosów. „Jesteśmy młodą gwardią, proletariackich mas..."

W MŁODYCH OCZACH

Za chwilę byliśmy już w świetlicy. Jak tu pięknie, czysto i przyjemnie. Pierwsza sala to czytelnia, druga, — biblioteka, w trzeciej króluje ogromny stół ping-pongowy. Dwaj młodzi chłopcy, walczą małymi, śmiesznymi rakietkami.

— Nie przeszkadzajcie towarzyszko — woła jeden — tu idzie walka na śmierć i życie; to turniej między naszymi dwoma fabrycznymi mistrzami.

Twarze skupione, mięśnie sprężone do skoku, którego najmniejsze odchylenie decyduje o grze. Audytorium jednak zmniejsza się. Wszak to sobota, trzeba śpieszyć do domu, wykąpać się, wyczyścić solidnie na niedzielę, a wieczorem pójść do teatru na premiowe bilety.

Przy drzwiach już przytrzymuję jednego z młodych chłopców.

— Powiedzcie mi — pytam — powiedzcie mi coś o was, jak tu spędzacie czas, czy nie jest wam ciężko, jak sobie w ogóle radzicie — ucząc się i pracując?

Chłopiec śpieszy się, nie ukrywa tego zresztą wcale, odpowiada więc szybko.

— No, pewnie, że chciałby człowiek, żeby było lepiej, zwłaszcza w domu. Jedna izba, dzieci cała fura, krzyku i wrzasku pełno, i ucz się tu człowieku, zmęczony do tego 6-cio godzinną pracą w fabryce. Ale będzie lepiej, my wszyscy wierzymy, że będzie lepiej, przecież nie zawsze będzie tylko czarny chleb na kartki i połatana koszula na grzbiecie. Im dalej od wojny — tym lepiej. Przyjdźcie do nas kiedy Towarzyszko — to pogadamy, a teraz cześć!

Wesoły, młodzieńczy uśmiech, mocny uścisk dłoni i po schodach już słychać dudnienie szybkich, sprężystych nóg.

NAUKA I PIENIĄDZE

Stoję przed jedną z szaf biblioteki i przez szybę oszklonych drzwi odczytuję tytuły książek. Księgozbiór naogół dobry. Widzę Struga, Nałkowską, Żeromskiego, Parandowskiego, Conan-Doyle'a — za mało tylko książek z naszej literatury klasycznej. Nie widzę zupełnie dzieł Mickiewicza, ani Słowackiego. Podobno są jednak w czytaniu — jak mi wyjaśnia przewodniczący Rady Załogowej.

W towarzystwie dwóch gościnnych i sympatycznych towarzyszy wychodzimy z lokalu. Pytam ich, jak się przedstawia sprawa uczącej się młodzieży — a jednocześnie praktykującej w fabryce.

Twarze ich chmurnieją.

— Jest ciężko — zaczyna jeden z nich, uświadomiony i inteligentny towarzysz. Zasadniczo zakłady pracy zwracają nam za naukę dzieci, jak również bezpośrednio młodzieży pracującej i uczęszczającej do szkół. Ustawa jednak krępuje dobrą wolę naszych przełożonych. Według niej bowiem zakłady pracy, pokrywają koszty nauki tylko tych, którzy uczęszczają do szkół prywatnych, lub zawodowych. Szczególnie to ostatnie jest niesprawiedliwością, koliduje bowiem z pędem młodzieży robotniczej do szkół wyższych i ogólnokształcących, co przecież nie leży w interesie naszego Państwa. Poza tym założenie, że szkołom państwowym nie wolno pobierać żadnych opłat od uczniów, jest błędne. Sam jestem członkiem koła „Przyjaciół Szkoły" przy jednym z tutejszych Gimnazjów Ogólnokształcących, wiem więc, że bez tych 100, czy 150 zł, wpłacanych miesięcznie przez uczniów, szkoła nie mogłaby istnieć; trudno przecież wymagać, by nauczyciel uczył za 800 zł miesięcznie, do tego szkoła potrzebuje funduszu na inwestycje i potrzeby naukowe — my robotnicy rozumiemy to i solidaryzujemy się z tym, żądamy jednak honorowania wydatków na kształcenie dzieci przez zakłady pracy. Z czasem i w tej dziedzinie sytuacja się wyrówna — narazie jednak musimy podtrzymywać się nawzajem i pomagać.

11 PUNKTÓW i MLEKA

— Jest jeszcze jedna sprawa — mówią do mnie na pożegnanie — to punkty. Dlaczego robotnicy fabryk włókienniczych otrzymują 11 punktów co dwa tygodnie, a my za lipiec, sierpień i wrzesień dostaliśmy tylko po 4 punkty a conto? I dlaczego my płacimy po 18 zł za jeden metr materiału a „włókniarze" tylko po 7.50? Czy nie należałoby wprowadzić jednakową realizację tych spraw?

— Albo mleko. Robotnicy „pucelni" tj. oczyszczalni odlewów, powinni pić przynajmniej pół litra mleka dziennie w czasie pracy, by nie zapaść na płuca. Tymczasem od czerwca nie otrzymujemy do fabryki ani 1 litra. Ludzie skarżą się i pokasłują. Zwłaszcza młodzież. Pisaliśmy już do Wydziału Aprowizacji i do tej pory nie mamy odpowiedzi. Pomóżcie nam w tym Towarzyszko — dodaje — bo naprawdę szkoda ludzi, przecież dziś każdy Polak, każdy robotnik to skarb dla narodu — i tak nas Niemiec wyniszczył nie mało.

Ściskam serdecznie ich dłonie.

— Jeśli was to pocieszy — mówię — to wiedzcie, że nie tylko wy nie otrzymujecie wszystkiego, co wam się należy. Ale jeszcze trochę, cierpliwości. Zaczynamy przecież wszystko od nowa, dźwigamy kraj z ruin, ze zniszczenia, z barbarzyństwa 6 letniej wojny. I przypomniawszy sobie młodzieńcze, pełne wiary słowa mego rozmówcy z sali ping-pongowej, dodaję.

— Ale będzie lepiej, wierzcie mi, jeszcze trochę wysiłku a napewno będzie lepiej. Im dalej od wojny — tym lepiej!

Marta Pichan

OWOCE! OWOCE!

Coś mi do głowy dziś wlazło
i żadnej rady — niestety!
Pomyślcie tylko — jak na złość,
mam na owoce apetyt.
We dnie je widzę w wystawach.
Gdy śpię (od tego są noce),
we śnie też męczy mnie zjawa
na temat: właśnie — owoce!
Z zgryzoty wyschłem jak deska.
Już we łbie wszystko mi tańczy.

W ustach moreli mam przedsmak
jabłek i... i pomarańczy.
Kupić?... jak? kiedy portfel jest pusty.
Kraść?... a co powie etyka?...
(A tutaj ślinka jest w ustach,
a tutaj ślinkę się łyka...)
Na przydział czekam więc z żalem,
w oku mam jedną łzę rzewną
i wiem, że co jak co, ale
FIGĘ — dostanę napewno.

justa.



OCZY NA ŚWIAT



Wielkie zwycięstwo lewicy w wyborach do Zgromadzenia Ustawodawczego we Francji omawiamy na innym miejscu. W ogólnym przeglądzie politycznym należy tylko podkreślić, że wydarzenie to jest pierwszorzędnej wagi i zajmuje naczelną pozycję w szeregu ostatnich wypadków. Po Anglii udowadnia Francja, że wola zjednoczonej klasy robotniczej zdecydowanie przechyla szalę historii na rzecz wyraźnego utrzymania pokoju i przebudowy społecznej w duchu istotnej sprawiedliwości.

Jak wiadomo, parlament brytyjski uchwalił szereg przełomowych dla życia angielskiego ustaw m. in. ustawę o upaństwowieniu Banku Angielskiego, kopalń, kolei, przemysłu stalowego, oraz ustawę o odbudowie miast. Na skutek bombardowania z 13 milionów domów mieszkalnych pozostało w Anglii tylko 8.500.000. W ciągu najbliższych 12 lat trzeba wystawić 4 miliony domów, przeplanować miasta i wsie. Ponadto demobilizacja armii grozi widmem bezrobocia. W tych warunkach zachodziła, potrzeba dania rządowi angielskiemu specjalnych pełnomocnictw, które pozwalałyby działać szybko i skutecznie. 19 b.m. mamy do odnotowania jeszcze jedno zwycięstwo lewicy angielskiej.

RZĄD ANGIELSKI OTRZYMAŁ SPECJALNE PEŁNOMOCNICTWA.

które miały miejsce tylko w czasie wojny. Prerogatywy opiewają na okres 5 lat. Na tej podstawie rząd Partii Pracy otrzymuje m. in. możność kontroli zatrudnienia wszystkich pracowników w poszczególnych działach życia gospodarczego, regulowania aprowizacji i produkcji przemysłowej, rekwizycji lokali it.p. Daje to gabinetowi władzę, jakiej dotąd w Anglii nie było, możność rozwiązania problemów natury wewnętrznej i międzynarodowej. Lewica angielska jest w wyjątkowo korzystnej sytuacji.

SĄD NAD FASZYZMEM ZBLIŻA SIĘ.

Międzynarodowa Komisja dla Badań Przestępstw Wojennych przez 2 lata zbierała w krajach okupowanych dokumenty bestialstw hitlerowskich. Akty oskarżenia, długi rejestr nazwisk i zbrodni zostały już przejęte przez Trybunał Międzynarodowy. W Norymberdze odbędzie się proces przywódców hitleryzmu. Akt oskarżenia stwierdza, że hitleryzm to nie była partia polityczna, lecz akcja zbrodnicza, spisek zwyrodnialców przeciwko narodom miłującym pokój. Dalej akt oskarżenia mówi, że przywódcy odpowiedzialni są za teror i bestialstwa popełnione przez Niemców w tej wojnie, albowiem oni (przywódcy) w tym kierunku ogół niemiecki inspirowali. I po trzecie: stawia się pod pręgierz i widmo szubienicy nietylko samą partię, lecz wszystkie inne przybudówki reżymu: SS, SD, SA, Gestapo, niemiecki Sztab Generalny i naczelne dowództwo sił zbrojnych. Albowiem oskarża się całość reżymu, oskarża się faszyzm niemiecki, który rozpętał niesłychaną w dziejach ludzkości wojnę i doprowadził do moralnego i gospodarczego wyniszczenia Europy. Podobno zbrodniarze otrzymawszy akt oskarżenia rozpłakali się i załamali tracąc panowanie nad sobą. Nic im to nie pomoże.

Dość złudzeń. Równocześnie z przygotowaniem procesu zbrodniarzy w Norymberdze wojska okupacyjne na terenie niemieckim odnalazły

CAŁY ARSENAŁ GAZÓW TRUJĄCYCH.

Oto co Hitler przygotował dla ludzkości jako ostatni środek nikczemnej walki: 200 tysięcy butli gazów trujących układa się w Kilonii na niezdatnych do użytku statkach niemieckich, po czym statki wraz z śmiercionośnym ładunkiem są zatapiane w głębszych miejscach cieśniny Skagerrak.

Aby wychować ten zbrodniczy naród trzeba 50 lat okupacji — oświadczył szef sztabu gen. Eisenhowera gen. Smith. Amerykanie zaczynają to już rozumieć. Gen. Truscot, następca niefortunnego gen. Pattona, zapowiada surowy kurs okupacyjny, jednocześnie demontuje się i wywozi z Niemiec maszyny z 300 fabryk Koncernu Chemicznego Farbenindustrie. Oby tak dalej.

Rany po tej wojnie są wielkie. Nietylko gospodarcze, lecz i moralne. Trzeba odbudować wiarę w człowieka, trzeba podnieść z upadku kulturę, postawić na nogi oświatę.

KONFERENCJA MINISTRÓW OŚWIATY W ANGLII

została zapowiedziana na dzień 1 listopada b.r. Konferencja ta będzie obesłana przez wszystkie państwa, również Rząd Polski otrzymał zaproszenie. Na czele delegacji polskiej stanął minister oświaty Czesław Wycech. Udział Polski — to dowód, że pozycja nasza wzrosła i brana jest pod uwagę w skali międzynarodowej.

Bierzemy też udział w konferencji gospodarczej w Quebecu w Kanadzie w gronie 45 państw gdzie się radzi nad sprawą wyżywienia Europy i pomocy dla jej rolnictwa. W tym celu

U.S.A. WYSYŁA 3,5 MILIONA TON ŻYWNOŚCI.

Część stąd otrzyma także Polska. Poczynając od września b.r. okręty z darami UNRRA przychodzą do Polski drogą morską przez Gdynię i Gdańsk, gdzie towary są wyładowywane i po protokularnym przyjęciu przez specjalną komisję, wysyłane w głąb kraju do poszczególnych województw.

Do dnia 1 października b.r. otrzymano tą drogą — 7.754 ton artykułów żywnościowych, 2.800 ton odzieży, koców i kolder, 1680 ton mydła, lekarstw i artykułów sanitarnych oraz 5.350 ton maszyn i narzędzi rolniczych, traktorów, samochodów it.d.

PORTY POLSKIE ZOSTAŁY ODBUDOWANE

Przyjmują i wysyłają transporty. Przybyło już 425 statków różnych państw, odpłynęło 366. Nasze okno na świat otwiera się szeroko. Ze Szwecji mają powrócić do Polski nasze łodzie podwodne „Sęp", „Ryś", i „Żbik". Jednocześnie komunikat donosi, że z Francji wraca w pełnym rynsztunku kilka tysięcy naszych żołnierzy, w tym 100 oficerów.

PROBLEM REPATRIACJI POLAKÓW

dojrzał do ostatecznego załatwienia. Pod Neapolem we Włoszech 13.500 Polaków „zobozowanych" ogłosiło głodówkę wołając o szybki powrót do kraju. Chcą bowiem wrócić do ojczyzny i stanąć do odbudowy, która jest obowiązkiem każdego Polaka. Kraj jest zniszczony, są wielkie trudności do pokonania, musimy podnieść naszą gospodarkę, bo tylko od nas od naszego wysiłku zależna jest poprawa naszego bytu. Na sprawy te wskazał ostatnio premier Osóbka-Morawski nawołując do uczciwej pracy i spojrzenia prawdzie w oczy.

G. T.

Antoni Pokorski

Literatura buntu i afirmacji

Życia narodów, klas społecznych i poszczególnych ludzi nie da się zamknąć w unormowanych na stałe ramach rozwojowych. Zależnie od zagrożenia takich podstaw rozwoju narodów, jak: niepodległość państwowa, byt ekonomiczny, wolność tworzenia i działania — stosunek społeczeństwa do istniejącej władzy politycznej układa się pozytywnie lub negatywnie. Stąd wynika, że literatura, która zawsze — mimo nieraz odmiennych pozorów, jest odbiciem rzeczywistości, wnosi między czytelników jako swych odbiorców albo zarzewie buntu albo afirmacji (zgody na istniejącą rzeczywistość).

Uogólniając, można powiedzieć, że narody dobrze zagospodarowane o ustalonej na wysokim poziomie egzystencji, nie ulegające wielkim zniszczeniom wojennym, posiadają literaturę wyrażającą pogodę życia, afirmującą zdobywczość i witalizm. Literatura buntu rodzi się w warunkach braku lub zagrożenia niepodległości w atmosferze t y r a n i i politycznej i ostrych spięć walki klasowej. Żyjące w takich warunkach wybitniejsze jednostki, poczuwające się do odpowiedzialności za życie zbiorowe, podnoszą sztandar protestu, wykazując w dostępnych literaturze formach potrzebę walki o zmianę, o nowy kształt życia.

Literatura polska, z wyjątkiem okresu jagiellońskiej siły i dobrobytu szlacheckiego („wsi spokojna, wsi wesoła") była raczej literaturą buntu. Buntu wymierzonego przede wszystkim przeciw najeźdźcom z zewnątrz, oraz przeciw egoizmowi szlacheckiemu.

Mimo odzyskania niepodległości, po pierwszej wojnie światowej, atmosfera walki nie wygasła w literaturze polskiej. Odsuwanie robotnika i chłopa od życia politycznego, spychanie ich na dno nędzy, bezideowość sfer r z ą d z ą c y c h, wspierających się tylko na terrorze, wszystko to stwarzało okoliczności, które zmuszały Żeromskiego do „rozdzierania ran", a takim pisarzom jak Dąbrowska, Nałkowska, Kruczkowski, Czuchnowski, Wasilewska, Gojawiczyńska, Szemplińska, Skuza, Brzoza, Boguszewska, Krzywicka — nakazywały poprzez realizm jako środek artystyczny, wskazywać na najbardziej zdrowe ośrodki i funkcje życia polskiego.

Jest jednocześnie charakterystyczny fakt, że ci pisarze, którzy posiadali pozytywny stosunek do rzeczywistości przedwojennej, jak np. Kaden - Bandrowski, wyrażali go poprzez negacje ludowych ośrodków walki. („Mateusz Bigda", „Czarne skrzydła").

Czynnik protestu i walki był tak silny w naszej literaturze, że podnosiły się głosy, wyrażające opinie o jego nieodłącznym związku z pojęciem literatury w ogóle.

Tu zapewne leży także źródło tych zarzutów, które sformułowane zostały przeciwko propagowanej obecnie literaturze, afirmującej obecną rzeczywistość — a wygłoszone przez „Życie Literackie" w artykule p. t. „W sprawie realizmu". Zarzuty te sformułowane zostały w ten sposób.

Twórczość współczesna winna:

„Pokazać, jak z chwilą upaństwowienia własności prywatnej miejsce warstwy plutokratycznej ziemiańskiej zajmuje nowa elita partyjno-urzędnicza — dać obraz zgoła nieprzewidzianych nawarstwień w obrębie których społeczeństwo różniczkuje się ze względu na udział w procesie sprawowania władzy i stopień uczestnictwa w dochodach państwowych — ujawnić antagonizmy, wynikające na tym tle w łonie hierarchii biurokratycznej, gdzie „biedni i mali" po dawnemu zazdroszczą „wielkim i bogatym" — odtworzyć nieprzewidziane zjawisko narastania nowych klas w związku z wieczną zasadą selekcji i eliminacji — baczyć, by kapitalizm prywatny nie przekształcił się w kapitalizm państwowy, zawczasu ustrzec masy przed grozą nowej pańszczyzny usankcjonowanej w trybie administracyjnym".

Nikt nie zaprzeczy, że duża część pragnień pisarzy działających w okresie międzywojennym została zrealizowana. Reforma rolna, zapowiedziana nacjonalizacja wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, są w życiu narodu polskiego wydarzeniami epokowymi. I dlatego napewno staną się one źródłem twórczości literackiej o pozytywnym charakterze.

Czy literatura polska przymknie z tego powodu oczy na błędy i trudności okresu odbudowy, czy wyrzeknie się ukazywania nowych celów?

Pisarz czujny napewno nie zgubi się w pozorach. Posiada bowiem najczulszą busolę w postaci sposobu życia, myślenia i odczuwania szerokich mas. To źródło nigdy nie jest zawodne. Ono też będzie dokonywać rozgraniczenia na literaturę buntu i afirmacji.

Kalendarzyk socjalisty

31 października b.r. obchodzimy 9-tą rocznicę zgonu Ignacego Daszyńskiego.

Ignacy Daszyński urodził się w Zbarażu 26 listopada 1866 roku. Już jako uczeń 4 klasy wchodzi w kolizję z kodeksem karnym i staje przed obliczem prokuratora pod zarzutem działalności politycznej. W następnych latach staje się sztandarową postacią polskiego ruchu socjalistycznego. Z nazwiskiem jego wiążą się wszystkie poważniejsze wystąpienia parlamentarne Polskiej Partii Socjalistycznej.

Koniec pierwszej wojny światowej zastaje Daszyńskiego w Krakowie, gdzie rozwija ożywioną działalność niepodległościową. Z inicjatywy P.P.S. zwołuje zebranie obywatelskie, na które zostają zaproszeni komendanci wojsk zaborczych. Jako przewodniczący zebrania powiadamia ich o tragicznej sytuacji wojsk austriackich i niemieckich na froncie, żądając od zdumionych i niczego się nie spodziewających oficerów kapitulacji. Grozi w razie odmowy rozbrojeniem przez demonstrujących robotników.

Strach oblecial oficerów i przyjęli kapitulację. W kilka dni później Daszyński znajduje się już w Lublinie, gdzie montuje Rząd Lubelski i staje na jego czele.

W następnych latach rozwija działalność jako parlamentarzysta.

I znów nazwisko jego staje się głośne, jako marszałka Sejmu, wyłonionego z wyborów marcowych 1928 r.

Na otwarciu sesji jesiennej 1929 r. dochodzi do starcia między Daszyńskim a Piłsudskim, który przybywa na sesję wraz z uzbrojonymi oficerami, aby wymusić od sejmu zrzeczenie się prawa kontroli nad budżetem.

Daszyński odmawia otwarcia sejmu. Honor sejmu został uratowany!

W sierpniu 1933 roku Daszyński jest współautorem odezwy, wydanej przez seniorów P.P.S. z okazji oryginalnego jubileuszu 300, za czasów sanacyjnych, konfiskaty „Robotnika".

Zofia Petersowa

Nieprawdopodobne

W domu panowała cisza popołudnia. Słyszałem gdakanie kur od strony podwórza i rozmowę dwóch kobiet niezrozumiałą z oddalenia.

Nagle zaśpiewała furtka od ulicy, męskie głosy zmieszały się z kobiecymi, na dole ktoś pośpiesznie przebiegł przez hall, zastukały otwierane i zamykane drzwi, ktoś o coś pytał, ktoś odpowiadał i w atmosferze zawisł niepokój. Ostrożnie zbliżyłem się do schodów i spojrzałem przez poręcz w dół. W hallu było pełno. Prócz domowników stało trzech oficerów, a przed otwartymi drzwiami na ganek zobaczyłem kilku uzbrojonych żołnierzy. Niewiadomo w jaki sposób Basia córeczka dozorcy, znalazła się przy mnie:

— Sztrajfa ! Obeszli całe letnisko i przyniosło ich aż tu! Może pan coś ma? Ja schowam...

Sztrajfa... Więc sprawdzą wszystkich i wszystko. Cofnąłem się do pokoju, przymknąłem drzwi i zbliżyłem się do okna. Nie wiem, o czym myślałem, ale pamiętam moment gdy raczej odczułem niż przeszło mi przez głowę, że teraz już naprawdę koniec.

Szli na górę głośno rozmawiając. Teraz są na zakręcie, bo trzeszczy drugi stopień od dołu. Jeszcze parę kroków... Już.

Otwarte drzwi wypełniła wysoka barczysta postać SS-mana z rewolwerem w ręku.

Tyłem oparty o parapet musiałem uchwycić się zań z obydwóch stron, patrząc na Niemca jak urzeczony. Chyba coś mi się przywidziało...? Nie, to był — nie mogłem się mylić! — to był łódzki fabrykant Oskar Löttich. Znałem go przed wojną, chociaż nie osobiście. Należał do elity, przyjmowano go w najlepszych towarzystwach wraz z młodą, przystojną żoną.

Wspomnienie to przebiegło z szybkością strzały. Ale i on widocznie poznał mnie, bo gęste, czarne brwi uniosły się wysoko z wyrazem zdziwienia. Trwało to króciutką chwilę, po której twarz mu zgasła i spochmurniała.

Sięgnąłem do bocznej kieszeni marynarki po dokumenty.

— Nie potrzeba, — rzekł krótko po polsku — na nic to się nie przyda. Jakie zresztą nosi pan teraz nazwisko?

Podałem mu kartę rozpoznawczą.

Z groźnym umiarkowaniem w ruchach, podobnych do pozornego spokoju tygrysa, otworzył ją z rewolwerem w ręku i przejrzał.

— No, tak. To zresztą wszystko jedno. Nie spodziewał się pan takiego spotkania? — Ironia i pewność siebie drgały mu w głosie.

Zbliżył się do stołu i uderzył po nim kennkartą. Górną wargę wykrzywiał mu zły uśmiech: igrał ze mną.

— No, czemu pan nie odpowiada? Przecież Żydzi byli zawsze tak wymowni! Więc nie spodziewał się pan takiego spotkania?

— Owszem, — odparłem z trudem czując dławienie w gardle — zawsze byłem na nie przygotowany, chociaż nigdybym nie przypuszczał, że to będzie pan.

— Cóż w tym dziwnego? — rzucił dumnie bawiąc się rewolwerem. — Przecież zawsze byłem Niemcem. Pamięta pan moją żonę?

— Oczywiście. — Trochę się już opanowałem, tylko lodowaty chłód skuwał mi ciało.

— Moja żona także pracuje. Na froncie, jako siostra miłosierdzia. Chyba i w tym nie ma nic dziwnego? Każdy powinien spełniać swój obowiązek.

Mówił drwiącym, spokojnym tonem, który podniecił mnie i wzburzył. Myśli pracowały jasno i dokładnie. Teraz, gdy wszystko przegrałem, zależało mi już tylko na powiedzeniu mu możliwie jak najwięcej.

KRONIKA
KULTURALNA

Międzynarodowy Kongres Unii Radiofonicznej zakończył w Londynie obrady. Delegacja polska zyskała audycje o Polsce w rozgłośniach zagranicznych (w językach obcych, lecz opracowywane przez Polaków), założyła sieć korespondentów zagranicznych i otrzymała cenny zapas płyt zagranicznych.

„Krzyżacy" po angielsku. — Nieśmiertelna powieść Sienkiewicza ukazała się obecnie w języku angielskim. „Times", czołowy dziennik konserwatystów, przyrównuje talent Sienkiewicza w „Krzyżakach" do wartości znakomitego powieściopisarza angielskiego z czasów romantyzmu Waltera Scotta.

Wyższe zakłady naukowe w ZSRR zostały odbudowane i powiększone o nowe gmachy. Hitleryzm zniszczył 166 wyższych zakładów naukowych. Zostały one odbudowane, ponadto stworzono 52 nowe, w sumie wraz z zakładami, które ocalały ZSRR liczy 760 jednostek. Frekwencja jest olbrzymia, w samej tylko Moskwie uczy się ponad 17 tysięcy studentów.

Teatr polski w strefie okupacji alianckiej powstał przy pomocy polskiej YMCA i pod kierownictwem znanego reżysera Leona Schillera. Artyści to b. więźniowie obozów. Teatr objeżdża ośrodki polskie na Zachodzie z wielkim powodzeniem, grając widowisko ludowe p. t. „Gody weselne".

Zjazd literatów polskich na Śląsku został pomyślany jako nawiązanie kulturalnych stosunków z ziemią odzyskaną. W Katowicach zjechali się pisarze, delegowani z całej Polski. Po zwiedzeniu kopalń w Załężu, uczestnicy udali się na Opole.

Organ chłopów „Dziennik Ludowy" posiada kolumnę literacką ciekawie i żywo redagowaną przez J. Szczawieja. Ostatni dodatek przynosi wywiad z ministrem Wł. Kowalskim na temat dróg i potrzeb współczesnej kultury polskiej.

Otwarcie domu Tow. „Przyjaźni Polsko-Radzieckiej miało miejsce w Warszawie. W nowej siedzibie Towarzystwa odbywa się wystawa p. t. „Moskwa — stolica ZSRR".

Ujrzymy nowe filmy angielskie. — Wysłany już został do Polski pierwszy transport filmów angielskich. Filmy te ukażą się niebawem na naszych ekranach.

Filmy dokumentalne obejmują obrazy, ilustrujące zbrojny wysiłek narodu angielskiego w latach minionej wojny i prace nad odbudową pokojowego życia w chwili obecnej.

Z filmów rozrywkowych, podajemy tytuły pierwszych sześciu obrazów: „Szlachetna płeć", „Dziewięciu", „Srebrna flota", „Szkarłatny Smith", „Wieczne światła", „Jeden z lotnictwa" i „Dom na rozdrożu".

Fragment inwazji na filmie. Ekrany świata obiega obecnie film angielski pt. „Ludzie spod Aronheim". Jest to film bez aktorów, opowiada on o desancie spadochroniarzy angielskich na terenie Holandii w drugiej fazie inwazji wojsk sojuszniczych na kontynent europejski. Film obrazuje również pomoc, udzieloną skoczkom spadochronowym przez ludność miejscową.

— Zazdroszczę i panu i pańskiej małżonce, że możecie żyć tak prostolinijnie. Ja — nie mogę, chociaż nie jestem temu absolutnie winien.

Znowu uniósł brwi z wyrazem ironicznego zdziwienia.

— Należy pan do narodu, którego krętactwa wywołały wojnę i który zawsze wszędzie bruździ.

Zdawałem sobie sprawę, że igram z niebezpieczeństwem: bawił się przecież rewolwerem, przerzucając go z ręki do ręki, a nie mogłem przemóc pragnienia, aby mu nie oponować.

— Dawniej był pan major chyba innego zdania. Miał pan w Łodzi opinię człowieka rozumnego i prawego. Urzędowa propaganda nie zabija w człowieku inteligentnym własnych przekonań, zdobytych na przestrzeni całego życia. Byłoby to bankructwem. Bywał pan major w towarzystwach rozmaitych, a pańska małżonka stykała się z moją matką na terenie pracy społecznej.

Patrzał teraz obok mnie w okno.

— Ładnie pan tu zamieszkał, — skręcił nagle rozmowę. — Widok piękny i powietrze doskonałe. Czy matka pańska żyje? — dorzucił niespodziewanie.

Nie mogłem odpowiedzieć od razu. W okruchach myśli jak na rozerwanej taśmie filmowej przesunęły się wyimaginowane obrazy, produkt bezsilnej rozpaczy. Chrząknąłem, żeby nadać głosowi możliwie naturalne brzmienie.

— Zamordowano ją w Treblince. Razem z moją żoną i córeczką poszła do pieca.

Cisza. Szarpnął gwałtownie ramionami, odwrócił się od okna i przeszedł po pokoju. Głośno, nieznośnie i natarczywie brzęczała zabłąkana osa, tłukąc się o ściany i sufit.

— Chciałby pan powrócić do Łodzi? — padło niespodziane pytanie. Stał przed obrazkiem na ścianie i bacznie mu się przyglądał.

— Gdyby Bóg pozwolił, a pan major nic nie miał przeciwko temu...

— Jednym tchem mówi pan o Bogu i o mnie? — podniosła się ironią górna warga.

Nie miałem nic do powiedzenia. Z głębin istoty rosła niecierpliwość, aby się to już raz skończyło.

— Co pan ze mną zrobi? — rzuciłem zdeterminowany.

Długim spojrzeniem wbił się w moją twarz, ale najwidoczniej myślał o czymś innym.

— Cy matka zupełnie wyzdrowiała po tym ataku sercowym, gdy moja żona ją odwiedzała?

— Nie, nie chciała się oszczędzać. Mówiła, że zbyt wiele jest na świecie nędzy, aby mogła odpoczywać.

Znów odwrócił się do obrazka. Miałem przelotne, jak mgła, wrażenie, iż zmiękła mu linia zaciśniętych warg nad mocno rozwiniętą szczęką. Cisza.

— Brakuje panu Łodzi?

Proste pytanie zbudziło nagle w tej ostatniej dla mnie chwili powiew ostrej nostalgii.

Łódź... Miasto moje rodzinne. Oddychające płucami największego w Europie parku i setkami ogródków przy fabrykach i willach. Zdyszane tętnem pracy, rozkołysane wielkością swych dorobków, krzykliwe od syren, dymiące kominami i potem ludzkiej orki. Spływ złota i koryto nędzy; miasto sytego zadowolenia i zaciskającego pięści głodu.

— Tak, — odezwał się nagle wśród głębokiej ciszy niskim, stłumionym głosem. — Dziwne to miasto. Opuszcza się je z rodością, a nie można doczekać się powrotu. Przez trzy lata byłem tam tylko raz: na pogrzebie syna.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Patrząc dalej przez okno widocznie odczuł mój gwałtowny ruch.

— Tak. Robert nie żyje. Ranny pod Pskowem umarł tutaj w szpitalu. Miał siedemnaście lat. Zawiozłem go na nasz cmentarz.

„Nasz". Wprawdzie nie „wspólny", „nasz łódzki cmentarz". Rozluźnił się ucisk w piersi i zelżała obręcz wokół skroni. Pojąłem niejasno, że będę żył. Będę żył dzięki „naszej" Łodzi, naszej wspólnej Łodzi.

— Chciałem, żeby leżał obok mojej matki, — ostrym, kanciastym ruchem, jakby go uwierał kołnierz, zwrócił ku mnie na moment głowę. — Znał pan matkę?

Co odpowiedzieć? Znałem nawet jej ojca, szanowanego i lubianego doktora Kołodziejskiego. Milczałem.

Wziął kartę rozpoznawczą, przerzucił stronicę, rzucił ją z powrotem na stół i poszedł w stronę drzwi, gdzie się odwrócił.

— Nie wolno opuszczać pokoju! — podniósł rewolwer. — Okno natychmiast zamknąć! — charknął głośno i ostro.

Szarpnął klamką. W mroku klatki schodowej zamajaczyły mundury. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Stałem nasłuchując. Rozmawiali, schodzili ze schodów. Jeszcze głosy. Coraz niewyraźniejsze, bo z przeciwnej strony domu. Zaskrzypiała znajoma furtka od ulicy. Cisza.

Co ze mną zrobią? Kto tu po mnie wejdzie? Czy zaraz?

Zamykając okno spojrzałem na dół. Szli ścieżką wśród zboża: na przedzie trzej oficerowie, za nimi grupa żołnierzy. Błyskały bagnety.

Jeden z oficerów stanął, wyjął papierośnicę, zatrzymali się i zapalili.

U POETÓW

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Rodowód

Jeden z mych dziadków młotem kuł
drugi — zwyczajnie krowy pasał,
stąd pewnie wnuk od dziecka czuł
pociąg do robotniczo-chłopskich haseł.

Ojciec — z Powiśla; oczywista,
że jeśli stamtąd — to marksiści,
więc skoro ojciec — socjalista,
to syn i ojciec — socjaliści.

Szlachetny pradziad był Jasiński
jak dziad i matka, stąd więc znów
ów temperament jakobiński
i generalski styl stąd ów.

Warszawska Wola jest jak młot
Przeżyłem tam najlepsze lata
wsłuchany w jej wysoki grzmot —
i tam się nauczyłem świata.

Rodowód — co tu gadać — niezły
i wszelką w mig tłumaczy chęć,
lecz skąd smykałka do poezji —
nie zgadniesz, choć i rozum skręć.

Może z wiślanych szumów wyszła
może młot wolę na dźwięk przekuł —
i tak Powiśle, Wola, Wisła
rytmem układa się w człowieku.

Nowe drogi teatru

Rozmowa z dyr. Krasnowieckim

Przed rozpoczęciem sezonu teatralnego Redakcja „Pobudki" zwróciła się do Dyrekcji Teatru W. P. w Łodzi, prosząc o rozmowę.

***

Mjr. Krasnowieckiego, zasłużonego dyrektora W. P. w Łodzi, zastajemy przy pracy. Na scenie odbywa się właśnie próba „Lata w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza, w gabinecie dyrekcji zebranie, za kulisami zaś personel techniczny sprawdza dekoracje, światło i inne rekwizyty teatralne. Dopiero tu, za kulisami widzimy, ile pracy i wysiłku potrzeba, by dać widzowi dwie godziny czarownej złudy — dwie godziny wzruszeń i poezji.

BLASKI i CIENIE

Teatr Wojska Polskiego utworzony przy I. Armii, armii chłopów i robotników odzianych w żołnierskie mundury, jest teatrem człowieka pracy. Po tej linii pójdziemy dalej — mówi dyr. Krasnowiecki, — chcemy bowiem pokazać robotnikowi to wszystko z naszego dorobku kulturalnego, co stanowi jego niezaprzeczalną własność. Chcemy w jego ręce oddać włodarstwo naszego teatru.

Ale na drodze naszej dużo jeszcze przeszkód i trudów. Najważniejszą bolączką Łodzi, jeśli idzie o zagadnienia teatralne, to brak odpowiedniego pomieszczenia. Obecnie rozporządzamy widownią obliczoną zaledwie na 750 miejsc. Odliczając z tego bilety ulgowe, otrzymujemy dochód, nie pokrywający zupełnie naszych wydatków. W takiej sytuacji o obniżce cen biletów nie można nawet marzyć.

Staramy się jednak otworzyć bramy teatru dla jaknajszerszych mas przez przeniesienie repertuaru naszego na deski sceniczne Robotniczego Domu Kultury, co miało miejsce ostatnio podczas przedstawienia „Lekkomyślnej siostry" Perzyńskiego. W najbliższej przyszłości obejmujemy Teatr Powszechny o widowni liczącej 650 miejsc. Nie rozwiąże to jednak trudności finansowych, nawet przy równoległym wystawieniu w obu teatrach jednej i tej samej sztuki.

— W jaki więc sposób wyobraża sobie ob. Dyrektor uregulowanie tej sprawy?

— Najprościej byłoby zasilać teatr systematyczną i stałą subwencją. Wiemy jednak, że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie rozporządza narazie odpowiednimi środkami wobec tylu innych palących potrzeb, jest jednak na to rada. Prócz pomocy bezpośredniej, Rząd, Władze Miejskie, czy Związki Zawodowe mogłyby przyjść nam z pomocą w formie pośredniej, zakupując systematycznie pewną ilość biletów jako premię dla najbardziej wydajnych w pracy robotników. Do tej pory urządzamy dwa, a nawet i trzy razy w tygodniu spektakle po zniżonych cenach, specjalnie dla robotników. Nie będę ukrywał, że podrywa to poważnie nasz i tak z trudem łatany budżet.

Sytuację finansową naszego teatru najlepiej zilustruje fakt, iż pod względem ogólnie przyjętych przez ZASP norm, artyści nasi otrzymują gażę zaledwie w 50 procentach. Dlatego też pracę ich dla naszego miasta zawdzięczać musimy naprawdę wysokiemu wyrobieniu obywatelskiemu i zrozumieniu doniosłej misji społecznej aktora w obecnym, demokratycznym ustroju.

SZTUKA JEDNAKOWO DOSTĘPNA DLA WSZYSTKICH

— Jestem przeciwnikiem poglądu, jakoby robotnik wymagał specjalnego repertuaru — ciągnął dalej dyr. Krasnowiecki. — I dlatego będziemy starali się pokazać mu nie lekkie rewie czy operetki, ale najpiękniejsze arcydzieła literatury klasycznej i współczesnej. Musimy dać to wszystko, robotnikowi jako należną mu własność narodową, pokazać piękno i finezję Szekspira, humor i dydaktyczny dowcip Moliera, artyzm i poezję Słowackiego. Każda z tych sztuk, prócz nieprzemijających wartości natury artystycznej, posiada głęboki morał społeczny, który odpowiednio podkreślony lub stonowany przez reżyserię, przyniesie szerokim masom widzów niespożyte korzyści.

Z nowego repertuaru wystawimy kilka utworów dramaturgów zagranicznych: angielskich, francuskich jak również i radzieckich. Zwłaszcza sztuka dramatyczna radziecka z okresu dwóch pierwszych pięciolatek stanowi niezrównaną wartość dla naszej polskiej współczesności. Akcja bowiem utworów z tego okresu toczy się dookoła tematów związanych z celowością pracy i wysiłkiem społecznym przy odbudowie kraju.

— Czy nie uważa jednak ob. Dyrektor, że niektóre dramaty, zwłaszcza z repertuaru klasycznego, wymagać będą pewnego przygotowania audytorium robotniczego?

— Naturalnie. Weźmy dla przykładu graną obecnie sztukę Iwaszkiewicza „Lato w Nohant". Przeciętny robotnik plącze się w temacie historycznym tego dramatu. Gdyby jednak „Lato w Nohant" poprzedzić krótką prelekcją na temat głównych bohaterów akcji: Chopina i pani George Sand, robotnik po obejrzeniu tego napewno inaczej słuchałby Szopenowskich polonezów czy mazurków. Nie mogę tu się powstrzymać od wyrażenia żalu pod adresem „Dziennika Łódzkiego", na łamach którego niektórzy dziennikarze pozwalają sobie na niepoważne i niesłuszne aluzje i sądy. Nie można bowiem dla tych czy innych powodów rozprawiać się jednym, bezmyślnym pociągnięciem pióra, nawet z mniej udanym rezultatem szczerej i ofiarnej pracy człowieka.

W TROSCE O NOWE KADRY ADEPTÓW TEATRALNYCH

Trudności naszego teatru powiększa jeszcze ogromny brak aktorów. Niemcy niszcząc naszą naukę i sztukę nie oszczędzili i tego zawodu. Do tego pewna część aktorów zdyskwalifikowała się współpracą z okupantem. Należy więc uderzyć na alarm w trosce o nowy narybek naszej sceny i estrady. Pod dyrekcją Aleksandra Zelwerowicza otworzono Państwowy Instytut Teatralny z bezpłatnym 3-letnim kursem dla zdolnej młodzieży. Projektowane jest założenie internatu przy szkole oraz wydzielenie zasiłków stypendialnych dla najzdolniejszych uczniów. Pragniemy gorąco zachęcić młodzież robotniczą do wstępowania do tej uczelni. Pragniemy, by Teatr Wojska Polskiego, demokratyczny teatr robotników był najlepszym przewodnikiem mas robotniczych i ludowych po czarodziejskich krużgankach prawdziwej sztuki i artyzmu.

Niestety, musimy przerwać naszą rozmowę. Dyrektora Krasnowieckiego czeka dziś jeszcze dużo niecierpiącej zwłoki pracy. Żegnamy się serdecznie w głębokim przekonaniu, że pod tak godnym kierownictwem i przy pomocy władz i społeczeństwa, Teatr Wojska Polskiego pełnić będzie dobrze swą zaszczytną misję przewodnika mas robotniczych po zaczarowanej krainie prawdziwej sztuki i artyzmu.

Krystyna Wyrzykowska

I. młodzieżowy konkurs recytatorski

Poezji polskiej w hołdzie. Pod tym hasłem odbył się w Teatrze Powszechnym w Łodzi I młodzieżowy konkurs recytatorski, w którym udział wzięło 33 uczennic i uczniów z grona gimnazjów oraz liceów i przedstawiciele O. M. TUR. Przy wypełnionej i bardzo entuzjastycznej widowni, na pięknie udekorowanej scenie padały słowa — dokumenty historii, pulsujące żywą krwią narodu i żarem bezpośredniego odczucia. Bogaty program, obejmujący 30 utworów, małymi wyjątkami sięgający w dalszą przeszłość (Ochorowicz, Konopnicka, Tetmajer), a głównie współczesny — roztoczył przed słuchaczami wizje naszych dramatycznych przeżyć. Słuchało się niekiedy z zapartym tchem. „Hymn o łyżce zupy" Wittlina przejmował dogłębnym wzruszeniem, a słowa bezimiennego wiersza „Przekleństwo" piętnujące zbrodnię i ohydę w postępowaniu niemieckim budziły jaknajżywszy oddźwięk na widowni.

Przy tej okazji ujawniło się, że poezja nasza bynajmniej nie jest wpisem do zakurzonych albumów, zdawkową poetycznością, ładnym cackiem na święta, lecz że stanowi żywy, czujący organ narodu. To ona, poezja, towarzyszyła żołnierzowi we wrześniu 1939 r., rozświetlała mroki konspiracji, wyrąbywała drogi ku Ojczyźnie pod Lenino i pod Tobrukiem i biła nieśmiertelnym źródłem ofiary w powstaniu warszawskim. Poeci zdali swój egzamin.

Teraz egzamin zdaje nasza młodzież, najwdzięczniejszy czytelnik naszych wierszy. Poziom recytacji ujmował bezpośredniością, wzruszał głębokim przetrawieniem recytowanych wierszy. Brzmiało to niekiedy, jak deklaracja ideowa młodzieży — i pięknie, że młodzież potrafiła tak szczerze moralne nakazy poetów odczuć. „Modlitwa" Tuwima, „Żywioły" Broniewskiego to nie były tylko wiersze, to były przeżycia dla młodzieży i całej sali, żarliwe testamenty, przekazane potomnym.

Należy się też piękna pochwała wychowawcom, polonistom w pierwszym rzędzie, którzy umieli młodzieży tyle miłości słowa ojczystego wszczepić, tyle entuzjazmu i stosunku powagi do twórców.

I jeszcze jedno: na scenie m. in. zabierał głos młodzieniec w mundurze wojskowym, na widowni widziało się nowego demokratycznego słuchacza. Jedyne lata! Masy wtargnęły do sztuki, a przecież artyzm nie upadł: czas zburzył tylko kapliczki poetyczności, lecz nie obalił prawdziwej poezji. Przeciwnie, poezja prawdziwa zyskała na nowym słuchaczu, upowszechniła się i wraz z synami robotników i chłopów trafia nareszcie „pod strzechy". Oto niewątpliwa zdobycz demokratycznych przemian.

Wracając do konkursu — poziom recytatorów był wysoki, dziewczyny wypadły naogół lepiej. Sąd konkursowy z mistrzem sceny A. Zelwerowiczem na czele ferując wyroki oczekiwane przez całą salę z wielką niecierpliwością, kierował się względem na: 1) bezpośredniość odczucia tekstu, 2) walory techniki, 3) warunki zewnętrzne.

Pierwszą nagrodę (1000 zł) otrzymała p. Królówna z pryw. Gimn. Duczymińskiego za nieprzeciętnie wartościową recytację wiersza J. Wittlina „Hymn o łyżce zupy". Muszę wyznać, że zarówno wiersz, jak i sposób odtworzenia wzruszyły mnie głęboko, mimo że w obozie „stwardniałem" poniekąd. Wypadek z tą recytacją orientuje zarazem, czego szukamy u poetów, co cenimy najbardziej: prawdy przeżycia. Tak, zdawałoby się, niewiele, a zarazem wszystko.

Dwie dalsze nagrody otrzymały p. Borowicz (XII Gimn. i Liceum) za wiersz „Ojczyzna Szopena" Balińskiego i tow. Salska (O. M. TUR) za znakomite wypowiedzenie wiersza Tuwima „Lokomotywa". Pozatem szereg zasłużonych wyróżnień. Konferansjerka tow. Jaśkiewicza z TUR-u (także doskonały i, już wyrobiony recytator; został wyróżniony), żywa i dowcipna.

Konkurs urządzony był przez O. M. TUR. Włożono w przygotowanie dużo pracy (to się widziało), ale też rezultaty dają jaknajpiękniejszą satysfakcję. Takie poczynania witamy gorącym uznaniem.

G. T.

Otwarcie Radiostacji Łódzkiej

Wdniu 21 października bm. w gmachu rozgłośni przy ul. Narutowicza 130, odbyło się uroczyste otwarcie Łódzkiej Radiostacji wysadzonej w powietrze przez okupanta i odbudowanej rękami polskich robotników i techników.

Z daleka już widać biało-czerwone flagi dekorujące gmach. Kiedy wchodzimy po czystych, wysłanych niebieskim chodnikiem schodach do wnętrza, słyszymy tuż obok nas pierwszą, bezpośrednią krytykę dzisiejszej uroczystości. Jakiś młody chłopiec mówi do kolegi: „Wiesz Antek, nie mogę odżałować, że tego szkopy nie widzą, — myśleli psiejuchy, że z naszym radiem już kaput, a tu popatrz, jakeśmy gmach wyreperowali".

Rzeczywiście. Wszystko aż lśni czystością: ściany, posadzki, jasne politurowane meble a wszędzie pełno kwiatów. Zwyczajnych czerwonych prymulek, ale jakże miło ożywiających jasne wnętrze lokalu.

Po symbolicznym otwarciu rozgłośni przez min. Matuszewskiego przechodzimy do wielkiego studia koncertowego.

Szereg pracowników Radia Łódzkiego, speakerów, literatów, robotników, techników, urzędników itp. wita nas jasnymi, zadowolonymi spojrzeniami. Ściskamy ich ręce, gratulując tak owocnej pracy.

Przed mikrofonem stają przedstawiciele Państwa, Radia, Radiostacji Łódzkiej i robotników.

Kiedy w ciszę wielkiego studia padają po raz pierwszy od 6 lat słowa: „Hallo ,hallo, tu Polskie Radio Łódź na fali 224 m", ogarnia nas wszystkich wzruszenie. W tym momencie czujemy się dumni głęboko, patrząc na ten najpiękniejszy dowód naszej narodowej siły witalnej, na jeszcze jeden wspaniały pomnik odbudowy kraju.

Minister Matuszewski, dziękując robotnikom i wszystkim pracownikom łódzkiego radia, powiedział: „Stąd na całą Polskę iść będzie głos robotnika polskiego, bo nowootwarta radiostacja, to dzieło i własność robotniczej stolicy — Łodzi."

Młoda speakerka obejmuje serdecznie koleżankę: „Powiedz — pyta — czy nie bardzo mi głos drżał, gdy zapowiadałam. Mówię ci, taka byłam wzruszona, tak mnie coś za gardło ścisnęło, że myślałam, że się rozpłaczę z radości... Po tylu latach, znowu w naszej kochanej starej rozgłośni..."

Głos zabiera przedstawicielka robotników tow. Marta Fijałkowska. Mówi głośno, wyraźnie, głosem mocnym, o zadowoleniu jakie daje solidnie spełniony obowiązek. W imieniu robotników miasta Łodzi, przekazuje trud i ofiarność pracy włożonej w odbudowę zniszczonej przez Niemców radiostacji w ręce przedstawiciela Państwa Polskiego min. Matuszewskiego, oraz lokalnych władz radiowych. Okrzykiem na cześć Rządu Jedności Narodowej kończy swe piękne przemówienie.

B. B. P.

Wieczory teatralne

„Lato w Nohant"

Jarosław Iwaszkiewicz zamknął w swojej sztuce fragment z życia Chopina, ostatnie lato, jakie Fryderyk spędził w Nohant, uroczym mająteczku swej przyjaciółki, George Sand (powieściopisarki francuskiej, bardzo popularnej w poł. 19 wieku).

W Nohant mimo, że się tam pisze, rzeźbi, maluje, mimo, że się tam kocha i nienawidzi — wielką sprawą jest tylko muzyka Fryderyka Chopina. Dlatego Fryderyk może się ukazać dopiero przy końcu 2 aktu, bez szkody dla kompozycji sztuki, a raczej z jej korzyścią — bo muzyka jego brzmi od podniesienia kurtyny. I dlatego muzyka Chopina w hierarchii elementów dramatycznych sztuki musi znaleźć pierwsze miejsce, tak jak w inscenizacji plastycznej zagadnieniem centralnym musi być pokój, w którym artysta pracuje. Tych dwóch postulatów inscenizacja nie spełniła. Pokój Fryderyka umieszczony na bocznym półpięterku nie przykuwa uwagi widza. Muzyka nie brzmi wyraźnie stamtąd, rozlewa się wokół całej sceny. Brak mocniejszych fal muzycznych, które uderzałyby widza, gdy drzwi się otwierają. Zapewne dzięki właściwemu rozplanowaniu pokoju Chopina uniknęłoby się również bardzo już szablonowej perspektywy dekoracji teatralnych: pokój, taras, ogród, w prostej linii. Rozwiązanie przestrzeni scenicznej budzi dalsze zastrzeżenia: fortepian ustawiony w niefortunnym skrócie z jednej strony, schodki z drugiej (mało wykorzystane) zastawiają scenę tak, że miejscem działania aktorów jest niewielki trójkąt, w którym ciągle powtarzają się te same sytuacje. Tę monotonię spektaklu potęguje jeszcze jednostajne frazowanie, ciągle ten sam rytm dialogów, nota bene oszczędzany przez reżyserski ołówek.

Inny ciężkiego kalibru zarzut, jaki możnaby wytoczyć przeciw spektaklowi, to zbyt małe skontrastowanie dwóch światów, dwóch klimatów, krańcowo odmiennych: Francji i Polski, George Sand i Chopina. To przecież stanowi najgłębszy nurt dramatyczny sztuki, to, że ten tułacz — Ariel nie mógł znaleźć domu poza straconą ojczyzną i po 9 latach mieszkania u pani Sand opuszcza jej dom z błahego powodu, jak opuszcza się hotel czy przytułek, bez żalu, z przykrością zaledwie, podczas gdy swój dom, daleką Warszawę, wspomina zawsze gorącym sercem. Wodziński i Jan, dwaj ludzie „stamtąd" (a zwłaszcza Jan, prosty sługa niezblazowany zagranicą) powinni stworzyć dokoła Chopina ten specyficznie odrębny klimat — skłócony z całym Nohant. Trzeba to było zrobić także i dlatego, że konwencja języka w teatrze jest tak silna, że widza nie razi fakt, że Jan i pani Sand mówią tym samym językiem.

Już sama powierzchowność Jana powinna daleko wyraźniej kontrastować typem fizycznym i strojem z Francuzami.

Poszczególne sceny nie zawsze szczęśliwie były rozplanowane ze względu na ich pointę i sytuację. Przykładowo mówiąc: w scenie między Solange a George Sand w drugim akcie, będącej dramatycznym napięciem tych dwuch charakterów— w pewnym momencie Solange siada u stóp matki na podeście od fortepianu; w takim ugrupowaniu postaci cała dramatyczność pryska; zamiast namiętnej walki między matką i córką mamy spokojną pogwarkę przy kominku.

Prawie wszyscy młodzi aktorzy popełniają grzech niedojrzałości: grają tekst, a nie pełną rolę, której jak wiadomo tekst jest tylko częścią. Natomiast Chopin stwarza pełną postać sceniczną. Zauważyć się daje tylko niedostateczne opanowanie rąk, nadmierne „ogrywanie" chusteczki, przez co nazbyt podkreślona jest choroba. Poza tym brakuje w tej interpretacji akcentów, które świadczyłyby o tym, że Chopin był autorem żywych, dowcipnych listów i świetnych karykatur.

George Sand miała akcenty głęboko kobiece i ludzkie, przez co zbliżyła do widza tę postać przez autora raczej nieżyczliwie potraktowaną.

Solange (premierowa) powinna skontrolować swój głos, bowiem nadmiernie go nasila i prawie wcale nie moduluje.

Cleisinger nie powinien swoją grą straszyć panienek na widowni.

Do kostiumów (zwłaszcza męskich) trzeba mieć duże zastrzeżenia, skoro nawet taki zgrabny chłopiec jak Maurycy, wyglądał w swoim nie zbyt zręcznie.

Krystyna Gogolewska

FILM

„Studentka" w kinie Bałtyk"

W talii kart obok wielu kart złych istnieją także dobre. Nawet największy pechowiec okresu powojennego, osławiona „wnuczka Frankensteina" — Kinofikacja potrafiła nam pokazać film dobry.

Bezpośrednio „Po maturze" dostaliśmy się na uniwersytet. Wznowienie filmu francuskiego p.t. „Studentka" jest celowe, ze względu na kulturalną reżyserię, dobry scenariusz według powieści Vicki Baum i świetną grę bardzo brzydkich, lecz za to prawdziwych, ludzkich artystów.

Tłem konfliktu jest walka dwu światopoglądów. Pesymizm przedstawiony jest w tym wypadku przez mężczyznę, właściwie przez obu mężczyzn, optymizm przez kobietę.

Kto wygrywa? Reżyser nie mówi nam tego wyraźnie, nie mówią nam też nic o zwycięstwie niewątpliwym, ani o poprzedniej klęsce oczy Madelaine Renaud w ostatniej scenie filmu.

Odnosi się wrażenie, że bohaterka godzi się na życie u boku wielkiego uczonego, że życie to może być spokojne i owocne, ale po konfliktach, które przeżyli oboje — nie może być szczęśliwe.

Niezapomniane są w tym filmie trzy sceny fortepianowe. Bohater, młody kompozytor gra utwory umyślnie słabe, ale trzeba słyszeć i widzieć jak gra i jak słuchają: kochanka, grono kolegów, profesor, jak śpiewa żona profesora.

Z doskonałą wnikliwością reżyser Pierre Benoit wplata w dramat sceny charakterystyczne z życia studentów, często niepozbawione żywego humoru. Może dzięki nim wszystko w tym filmie tchnie prawdą. Tym głębsze wrażenie robi śmierć bohatera obramowana pięknym górskim pejzażem oraz moment, w którym młoda studentka czuje pierwsze ruchy dziecka.

Constant Remy i Jean Louis Barrrault (Napoleon z filmu „Pola Elizejskie") grają bez zarzutu główne role męskie.

Wszystkich zalet filmu, który jest prawdziwą ucztą dla spragnionej publiczności, wymienić nie sposób, natomiast trzeba wymienić wady kina „Bałtyk".

Seans zaczyna się o 16,30, o 16,05 kasa jeszcze nie otwarta. Niekończąca się kolejka marznie na dziedzińcu. Co dobre w lipcu—gorsze, gdy listopad za pasem. Film dozwolony dla młodzieży od lat 18. Kto jednak zapłaci 15 zł. (bilet na pierwsze miejsca) ma prawo wstępu na widownię nawet mając 14 lat. Polecamy to uwadze ob. bileterów.

L. B.



reporter tygodnia

Życie kulturalne Łodzi wraz z sezonem jesiennym nabiera rumieńców. Czasem coprawda, gdy się patrzy na niektóre przejawy tego życia, rumieniec pokrywa twarz sprawozdawcy. Tak np. dzieje się ze spektaklem świetnej sztuki Jarosława Iwaszkiewicza o Szopenie „Lato w Nohant", którą od kilku dni grają w Teatrze W.P. Premiera odbyła się w rocznicę szopenowską i miała być wyrazem hołdu dla wielkiego kompozytora. Tymczasem wystawiono spektakl w tak niestarannej obsadzie i reżyserii, że wyrządzono poważną krzywdę sztuce, autorowi i publiczności.

Gdy w ubiegły piątek przyszedłem, jak co tygodnia, do kina „Bałtyk" (w kinie „Bałtyk" w piątki odbywają się koncerty Filharmonii Łódzkiej) spotkała mnie wielka radość. Nie dostałem biletu na koncert. Cieszyłem się oczywiście nie z tego, że nie dostałem biletu, lecz z tego, że ludzie chodzą tak tłumnie na koncerty. Tymbardziej, że był to koncert szopenowski.

Widocznie jednak nie jest tak źle z kulturą, skoro nawet Ministerstwo Informacji i Propagandy otwiera w Łodzi teatrzyk p. n. „Gong". Jest to jeszcze jeden przybytek wesołości z cyklu teatrzyków w guście Teatru Milicji. Nie wiem dlaczego Informacja i Propaganda nie może sobie znaleźć lepszego ośrodka propagandowego, np. urządzić w Centralnym Robotniczym Domu Kultury stałą scenę dla robotników, gdzie nad repertuarem i wykonaniem czuwali by specjaliści, dla których gatunek rewiowy nie jest ideałem teatru. Zwłaszcza teatru Min. Informacji i Propagandy. Dotychczasowy poziom „Gongu" pod kierownictwem p. Chrzanowskiego istotnie jest do chrzanu.

Oczywiście są to wszystko kolce, ale i róża łódzkiego życia kulturalnego też kwitnie. W niedzielę odbyły się dwie imprezy poświęcone poezji. Zdawałoby się, że poezja mało kogo interesuje w dzisiejszych czasach przydziałowego chleba. Tymczasem miłośnicy poezji wypełnili wczoraj dwie sale: salę Teatru Powszechnego TUR, gdzie odbywał się zorganizowany przez TUR konkurs recytacyjny i salę na Gdańskiej, gdzie urządzono interesującą audycję poetycką pod niefortunnym nieco tytułem „Na gruzach dom". Zwracamy uwagę, że domu na gruzach wznosić nie należy. W audycji dało się zauważyć nieco gruzów, zresztą dom poezji wybudowany troskliwymi rękami Marii Wiercińskiej stał mocno.

Jednak pierwsza impreza, konkurs recytacyjny T.U.R., bardziej mnie zainteresowała. Młodzież szkolna w rozmaitym wieku recytowała wiersze zapewne przez siebie wybrane. Recytowano źle i dobrze, utwory były mniej lub bardziej odpowiednie. Nie to było ważne. Ważne było, że wystąpiło trzydzieścioro dziewcząt i chłopców, że słuchała ich sala wypełniona po brzegi publicznością, wśród której zauważyliśmy przeważający odsetek młodzieży. Na scenie był wielki napis „Poezji polskiej w hołdzie" i godło TUR. Było to widome przymierze między literaturą i życiem, na przekór temu, co się mówi o separacji społeczeństwa od sztuki, o samotności poety. Oczywiście, nikt nie może zmusić czytelnika do odcyfrowania dziwacznych wierszy, drukowanych z uporem przez krakowskie „Odrodzenie", tak jakby nie było już dobrych poetów w Krakowie i w Polsce. Nikogo nie można zmusić do odczytywania hieroglifów myśli owiniętych dokładnie w bawełnę skomplikowanych zdań, chociażby te hieroglify były wydane w pięknej, stukilkudziesięciostronicowej książce, jako pierwsza większa publikacja poetycka polska.

Nie wydaje mi się również słuszne by jako pierwsza książka współczesnej prozy ukazała się powieść Xeni Żytomierskiej p. t. „Jan i Małgorzata". Coprawda, książka ukazała się u prywatnego wydawcy. Z tym większym zainteresowaniem oczekujemy na prozę, którą zamierzają wydać spółdzielnie księgarskie „Książka" i „Czytelnik". Gdy więc nie mogę niestety polecić moim czytelnikom żadnej dobrej książki, wierszy ani prozy, gdy premiera w Teatrze Wojska również zawiodła, proponuje wam połączenie teatru i lektury: ukazała się nakładem Spół. Wyd. „Książka" sztuka Adama Ważyka „Stary dworek". Pytacie, dlaczego sztuki dotąd nie grano? Nie wiem. W każdym razie dopóki jej nie ujrzymy na scenie, musimy się zadowolić lekturą.

Jak widzicie Łódź ożywia się coraz bardziej. W ostatniej chwili dowiaduję się, że istnieją propozycje, by Zarząd Miejski ufundował nagrodę literacką m. Łodzi. Byłoby to wielce słuszne posunięcie i niewątpliwie z pożytkiem obustronnym, t. zn. dla miasta i dla literatów, których mieszka w Łodzi obecnie prawie sześćdziesięciu, tak, że wybór jest obfity.

ph.

Film oświatowy w Polsce

Z ramienia Oddziału Krakowskiego Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski", prowadzone są obecnie prace nad szeregiem filmów o charakterze naukowym z różnych dziedzin życia.

Pierwszy z nich pt. „Ręka dziecka przy zabawie i przy pracy" jest ciekawą próbą filmowego ujęcia zagadnień psychologicznych. Ukazuje on stopniowy rozwój użyteczności ręki, jako podstawowego narzędzia pracy człowieka. Doskonalenie tego narzędzia przedstawiają nam obrazy zabaw dzieci, począwszy od nieporadnych ruchów niemowlęcia, aż do czynności dziecka kilkunastoletniego, wykonującego przy pomocy rąk, skomplikowane prace narówni z dorosłymi. Autor scenariusza, profesor U. J. dr. Stefan Szuman wykazuje, w jaki sposób dziecko przygotowuje się do pracy przez zabawę.

Drugi z serii filmów popularno-naukowych nosi tytuł „Łopuszna — ziemia nieznana" i opowiada o krajobrazie, mieszkańcach oraz bogactwie folkloru i przyrody doliny Łopuszańskiej ze szczególnym uwzględnieniem skarbu jej wód: pstrąga i łososia. W Łopusznej mieści się jedna z największych i najpiękniejszych stacji rybackich w Europie.

Trzeci film oświatowy, poświęcony będzie odkryciu metody skraplania powietrza, dokonanego w r. 1883 przez polskich uczonych K. Olszewskiego i Z. Wróblewskiego.

HUMOR i SATYRA

Przygody Jasia



Spacerując po ulic:
Jaś przeczytał mądry afisz,
Żeby się nauczył czytać,
Jeśli jeszcze nie potrafi!



Oczywista do nauki
Chęci pełen i ochoty,
Wszedł do sklepu kupić książkę —
Cóż — kosztuje 300 złotych!



Wyszedł zatem rozżalony,
Że nie może książki kupić
I rozmyśla: czy dlatego
Mam na zawsze zostać głupim?

A-zet

Na dekret o publicznej gospodarce lokalami

Nigdy nie jest za późno! G.U.M. zniknie nareszcie!
Brał łapówki za przydział, więc skończył w areszcie.
Niechże nad tym inni łamią sobie głowy,
Jak skończy karierę Urząd Lokalowy.

ADAM KONDRACKI.

Nie masz jak w Łodzi

Gdybym tak jeszcze raz się urodził,
To żyć i mieszkać chciałbym ja w Łodzi.
Bo które miasto na każdym kroku
Ma tyle w sobie, co Łódź, uroku?
Gdzie jeszcze mieszka się tak wygodnie?
Gdzie niespodzianek nie spotkasz co dnia?
Gdzie nigdy w bramach domów uroczo
Błyszczących nie ma sadzawek z moczu?
Gdzie jeszcze takie ubóstwo dymu,
W lecie na skwerach, w mieszkaniach zimą?
Gdzie się nie zdarza, by sąsiad w piecu
Palił, a iskry na ciebie lecą?
Gdzie szaber wcale nie stał się modą?
Gdzie jeszcze znajdziesz tak dobrą wodę?
Gdzie jeszcze woda tak nie kaprysi,
Gdy ma dozorca swe widzimisię?
Gdzie, w którym mieście teatrów tyle,
A w nich świat pracy za grosze byle?
Gdzie nie ma głodu mieszkaniowego?
Gdzie kąt otrzymasz bez odstępnego?
Gdzie takich dbałych masz ojców miasta,
Jak w miłej Łodzi? Nie ma i basta!
A gdybyście mi powiedzieć chcieli,
Że w innych miastach lepiej o wiele,
Odpowiem: Zazdrość! Bo, jak nam w Łodzi
Nikomu nigdzie się nie powodzi.

Na dekret o przymusie pracy

Będzie Urząd Zatrudnienia
Mógł pracować bez wytchnienia,
Wyłapywać spekulantów,
By nie mogli robić kantów.
Przymus pracy wkrótce będzie.
(Nie dla wszystkich i nie wszędzie!)
Kombinator? Ten nie biada.
Ten i na to znajdzie radę.

Prenumerata „Pobudki" (wraz z odnoszeniem do domu) miesięcznie zł 12, kwartalnie zł 35.

CENY OGŁOSZEŃ. Drobne: za wyraz petitowy poza tekstem 5 zł. Inne ogłoszenia: za milimetr — szpaltę poza tekstem zł 14.—, w tekście zł 21.—

Redagują: Z. Mitzner, G. Timofiejew, H. Wachowicz. Wydaje Wojewódzki Komitet PPS w Łodzi.

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska 68, front II p. tel. 112-54. Godziny przyjęć 11—13 i 16—18. Rękopisów nie zwraca się. Składano w Druk. Książka. Odbito w Druk. „Czytelnika" w Łodzi, Żwirki 2. D-01948